

Joanna Olczak

JA - NAPOLEON albo O POTĘDZE WYOBRAŹNI

OSOBY:

JA-NAPOLEON, osoba raczej młoda, płci żeńskiej, mała, niepozorna, o twarzy brzydkiej, lecz jak się to mówi „interesującej”.

MÓJ MAŻ — LUDWIK, dziennikarz, cudzoziemiec. Przystojny, lekko łysiejący. Bardzo a bardzo zapracowany.

MOJA MATKA, pisarka, pani w średnim wieku, siwa, różowa, pulchna. Serdeczna i przyjazna, lecz popadająca bardzo często w stany kosmicznej rozpacz.

GOSPOŚIA — PANI WANDZIA, melancholiczka.

MÓJ ADIUTANT, oficer napoleoński, w cywilu dyrektor Instytutu Historii Sztuki Wojennej. Bardzo piękny i męski. Z wąsem.

DAMA

PAN MALEWSKI, sąsiad

FURMANI (dwaj)

OGRODNIK OD SĄSIADÓW

WOŹNY Z INSTYTUTU

MONTER Z GAZOWNI

Żołnierze, goście, dziecko, kelner, pies

AKT PIERWSZY

Scena przedstawia dość duży pokój. Na ścianach półki z książkami, parę starych obrazów (portrety z końca XVIII w.), staromodna szafa, lustro w złoconych ramach. Na wprost widowni duże okno bez firanek wychodzące na łasy, jesienny ogródek. Po jednej stronie sceny drzwi, po drugiej schody prowadzące na rodzaj podestu — półpiętra, gdzie biurko, telefon, w nieładzie książki, gazety, papiery. Schody powyżej podestu nikią w górę, prowadząc do dalszej części mieszkania. Na dole stół z resztkami kolacji (szklanki, brudne talerzyki), parę przypadkowych krzeseł, tapczan, na którym śpią dwie osoby. Wszędzie sterty gazet, książek, na podłodze części garderoby damskiej i męskiej. Wnętrze jest wyraźnie nie urządzone do końca i nieporządkne. Szary, jesienny ranek. Słychać głosy z pierwszego piętra.

GŁOS I (kobiecy, głośno, przenikliwie, dość fałszywie śpiewa) Jedzie, jedzie pan, pan /Na koniku sam, sam/ A za panem chłop, chłop /Na koniku hop, hop/ A za chłopem Żyd, Żyd /Na koniku hip hip/ A za Żydem Żydóweczki, pogubiły patyneczki /Wszyscy razem bęc...

GŁOS II (dziecięcy, również głośno, piskliwie, śmiejąc się) Oj babuniu, oj uważaj, oj trzymaj mnie mocno, oj bo ci spadnę... ojoj... (po słowie „bęc” głuchy łoskot i wrzask dziecka) Widzisz, widzisz, teraz ci spadłam, ty głupia, ty...

GŁOS I Au... coś ty zrobiła swojej babuni... Byłabyś jej wybiła oko. Przepróż babunię, przepróż w tej chwili...

GŁOS II To ty mnie przepróż... odłamałaś mi palec... ty wstrętna, ty...

GŁOS I Jezus Maria, gdzie? Pokaż, złotko, babuni, babunia podmucha, zaraz się zgoi... (krzyczy) Pani Wandziu! Gdzie pani jest?

GŁOS III (*Gosposi, zza drzwi na dole, z pretensją*) Tu... Na dole. Nie mam teraz czasu. Muszę zbudzić pana Ludwika. (*zmieniając ton na pretensjonalnie-śpiewny*) Hellou... ósma godzina... hellou... słyszy mnie pan? (*leżący na tapczanie, którzy przez cały czas okazują niepokój, kręcą się, wzdychają, naciągają teraz ze zniecierpliwieniem koldrę na głowę. Drzwi otwierają się, Gospościa wsuwa nieśmiało głowę do pokoju*)

GOSPOSIA Hellou... (*biagalnie*) Hellou...

GŁOS DZIECIĘCY (*z góry*) Mamo! Mamooo! Babcia nie wie, gdzie jest moja koszula...

GOSPOSIA (*wchodząc do pokoju, ostro w górę*) Cicho, Kasiu! Mama i tata śpią... (*podchodząc do tapczanu, pieszczotliwie*) Hellou... czy pan śpi? (*nie otrzymując odpowiedzi, nerwowo, z wyrzutem*) Pan Malewski był już dwa razy i powiedział, że sto razy powiedział, że nie może wyjechać z garażu, jak pan stawia samochód pod jego garażem...

GŁOS KOBIECY (*z góry*) Co pani mówi, pani Wandziu? Kto był dwa razy?

GOSPOSIA (*w górę*) Nic... Nic... (*do tapczanu*) Słyszy mnie pan?

GŁOS DZIECIĘCY (*z góry*) Co mówisz, Wandziu? Nic nie słyszę... babunia tak krzyczy... (*dzwoni telefon*)

LUDWIK (*wyskakując z łóżka i szukając pantofli, półprzytomnie*) Tak... tak... zaraz... (*biegnie do telefonu*)

GOSPOSIA (*za nim, piejąc jak kogut*) To co ja mam zrobić... Hellouuu... (*zostaje bezradnie na środku pokoju, toczy błędny wzrokiem, sama do siebie*) Był już dwa razy...

GŁOSY Z GÓRY Kto, pani Wandziu? Wandziu coo?

LUDWIK (*przy telefonie*) Hallo... Hallo... Tu „The Man in the Nature”. Stacja numer 18. Tak... przy aparacie. Tak. Tak. Czekam...

GŁOS KOBIECY (*z góry*) Ubierzemy teraz dziecko ładnie, grzecznie... (*śpiewa fałszywie*) Gdzie są majteczki naszej małpeczki tralala.

GŁOS DZIECIĘCY Za ciasne... nie chcę... idź babciu... sama jesteś małpa...

GŁOS KOBIECY (*placzkliwie*) Ojjoj, coś ty powiedziała do swojej babuni.

LUDWIK (*w górę*) Uspokójcie się, błagam, rozmawiam z redakcją...

GOSPOSIA (*śpiewnie, w górę*) Cichoooo, Kasieńko, tatuś rozmawia z zagranicą...

LUDWIK (*do telefonu*) Hallo, hallo... (*za oknem zjawia się Ogrodnik w watowanej kurtce, jamnikówka na głowie, ściąga rękawice, wali pięścią w okno*) Hallo... Co się tam znowu dzieje do diabła.

GOSPOSIA (*podchodzi na palcach do okna, otwiera, przenikliwym szeptem do Ogrodnika*) Ciszej, na miłość Boską, pan redaktor rozmawia z zagranicą... (*wiatr zwiewa papiery i gazety, Ogrodnik odchodzi*)

LUDWIK (*do Gospośc*) Niechże pani zamknie okno, zwariować można! Hallo... nie, nie, to nie do pani. Dzień dobry pani. Skąd! Od godziny już siedzę przy pracy... (*Gospościa zamyka okno i odchodzi na palcach. Zaczyna sprzątać, spoglądając od czasu do czasu z niechęcią na drugą osobę śpiącą na tapczanie, z głową pod koldrą; do telefonu*) Jeszcze jeden artykuł na ten temat? Nie ma mowy. Pojechałem tam wczoraj po południu i całą prawie noc spędziłem na terenie akcji. Dopiero nad ranem wróciłem do domu. Przed samym świtem dzwonił Rzym z prośbą o meldunek i powiedziałem im przecież, że dzięki natychmiastowej interwencji wojska, milicji, oddziałów specjalnych i harcerzy, sytuacja przestała być niebezpieczna. Pozostało przy życiu zaledwie kilkaset tysięcy mniszek słabych i niezdolnych do rozmnażania. Nie rozumiem, dlaczego Grossman chce koniecznie rozdmuchać ten incydent. Niechże sobie przypomni, co się działo w Górnej Bawarii w latach 1888—1892, kiedy to po napadzie mniszki niszczyły las na przestrzeni 60.000 hektarów. Na jednym drzewie, według wiarygodnych rzeczoznawców siedziało ich wtedy od 20 do 50.000 sztuk. To był prawdziwy dramat... Z Zurychu? Nie, jeszcze nie dzwonili. Afera końska? Nie, nie czytałem jeszcze gazet. Dziś? 30 linijek dla Zurychu? Wykluczone! Dzisiaj mam przecież na głowie tę bandę z BLZ-u. Sam Grossman błagał przecież, żebym się nimi zajął. O 11 wizyta w ZOO, o 13 oficjalne śniadanie z pełnomocnikiem Rządu do sprawy mikrofauny w filtrach wodnych, o 14 w parku miejskim uroczyste karmienie ląbedzi z udziałem władz i młodzieży, wieczorem urządzam dla nich przyjęcie. Sam Grossman mnie o to prosił. Kiedy mam znaleźć czas na pisanie? Co?

GOSPOSIA (cały czas sprząta, wnosi, wynosi, nakrywa do śniadania, zbiera garderobę z ziemi, męską układając starannie na krzesło, damską rzucając nie dbale na drugie. Od czasu do czasu przesuwa hałaśliwie jakiś sprzęt, patrząc wrogo w stronę tapczanu. Płaczliwym głosem) Pani śpi? Bo pan Malewski był już dwa razy i powiedział... (osoba na tapczanie przewraca się niecierpliwie na drugi bok. Gospośia jęczy) O Boże! Boże... (wychodzi, wraca z odkurzaczem, włącza odkurzacza obok łóżka. Odkurzacze wyje. Gospośia odkurza)

GŁOS DZIECIĘCY (z góry) Odkurzasz, Wandziu? Zaraz ci pomogę...

GŁOS KOBIECY (z góry) Włóż, złotko, buty, znowu będziesz kaszleć...

LUDWIK Uspokójcie się, błagam... (do telefonu) Ja naprawdę nie wiem, co mam zrobić. Przecież Grossman wie, że pojutrze lecę do Londynu. Sam mnie prosił o dwugodzinny referat sprawozdawczy. Kiedy, pytam się, kiedy mam go przygotować. Rozumiem panią. Ale chciałbym, żeby i mnie ktoś raz wreszcie zrozumiał. Dobrze... Zrobię, co będę mógł... Jak zwykle o siódmej... trzydzieści linijek... nie, nie... nie denerwuję się... niech pani pozdrowi ode mnie Grossmana... (rzuca z pasją słuchawkę, zbiega na dół, wyrzuca sznur odkurzacza z kontaktu, krzyczy w stronę tapczanu) Wstawaj do diabła! Rusz się! Zrób wreszcie jakiś porządek w domu! Zwariować można w tym hałasie...

DZIECKO (biegnąc po schodach) Budzisz mamę, tato? Ja ci pomogę... (wbiegając do pokoju) Mamo! Wstawaj do diabła! Rusz się! Zwariować można w tym hałasie...

GŁOS KOBIECY (z tapczanu; zaspany, niechętny) Oj, co wy tak wszyscy wrzeszczycie od rana, zaraz wstanę... (Dziecko szarpie kołdrę) Noo... tylko nie ściągaj kołdry, bo dostaniesz... nooo... zostaw...

LUDWIK W tej chwili przestań się wygłupiać! Wstawaj natychmiast... (brutalnie ściga kołdrę z łóżka)

Na łóżku leżą Ja jako Napoleon Bonaparte w stroju kompletnym. Surdut zapięty, kamizelka, epolety, obciste spodnie, długie straszliwie ubłocone żołnierskie buty. Wyskakują dziarskim ruchem z łóżka, obciążam surdut, wkładam napoleońskim gestem rękę za kamizelkę, prostuję się, bardzo z siebie zadowolona.

GOSPOSIA (z nienawiścią) Matko święta! Jeszcze tego nam brakowało.

DZIECKO (z oświeceniem) Mamo! W takich butach do łóżka!

LUDWIK (wściekle) Kompletnie zwariowałaś! Co to ma znaczyć!

JA-NAPOLEON (patrząc na swoje buty, lekko speszona) Rzeczywiście brudne, (machając lekceważąco ręką) oczyści się...

GOSPOSIA (ponuro) Pościel świeżo obleczona...

JA (lekko) Trudno, zmieni się... (radośnie do Ludwika) Ale ci zrobiłam niespodziankę! Widzisz? Dzisiaj w nocy zostałam Napoleonem. Najprawdziwszym. Tak się cieszę, tak się strasznie cieszę. (wykonuję parę tanecznych ruchów, podbiegam do lustra, przyglądam się sobie z zachwytem, salutuję, stoję na baczność, maszeruję parę kroków, odwracam się, wołam radośnie) Bonjour messieursdames. Comment ça va? Très bien. Enchantée de vous voir. Tout le plaisir est de ma part. Quel beau temps il fait aujourd'hui (biegnę do Ludwika z wyciągniętymi ramionami) Louis! C'est moi, ton petit caporal... Ach! jaka jestem szczęśliwa...

LUDWIK (ostro) Uspokój się!

JA (nieruchomiejąc i wkładając znowu rękę napoleońskim gestem w zanadrze) O nie! Parbleu! Takim tonem mogłeś do mnie mówić wczoraj. Kiedy jeszcze byłam tylko twoją żoną. (zwracając się do wszystkich) Od dziś żądam dla siebie w tym domu bezwzględного szacunku. I spokoju. Zwłaszcza rano. Kiedy śpię! (przechadzając się majestatycznym krokiem po pokoju) Od dziś ja tu rządzę. Ja, Napoleon. Ja wam teraz wszystkim pokażę. Ja was nauczę dyscypliny. Ja zaprowadzę wreszcie ład w tym domu...

GOSPOSIA (ponuro) Pani zdejmie najpierw te buty, bo się podłoga zaniesie. (podrażnionym tonem) Mnie to wszystko nic nie obchodzi. Pan Malewski był już dwa razy i zaraz przyjdzie znowu. Ogrodnik od sąsiadów czeka od godziny, bo się z nim pani na rano umówiła w sprawie róż... (do Ludwika) Dlatego tak walił. A w ogóle znalazłam pod płotem stary rachunek za światło... (potrząsa brudnym świstkiem) Pewno już z miesiąc leży, bo cały zbutwiał.

Znowu nam prąd wyłączy, jak w zeszłym miesiącu. Inkasent pewno nie mógł się dodzwonić i przez parkan wrzucił. (z pretensją) A jak się miał dodzwonić, kiedy dzwonek nie działał, bo prąd był wyłączony. Ja i tak idę teraz na kurs. (wstydliwie) Szyjemy właśnie damską bieliznę... (agresywnie) a ja dzień w dzień się spóźniam i profesorka robi mi wyrzuty przy paniach...

JA (uspokajająco) No już... dobrze... dobrze... (siadam na tapczanie i próbuję zdjąć buty. Szamoczę się z nimi, w końcu mówię niepewnym głosem do Ludwika) Nie dam rady. Możesz mi pomóc?

LUDWIK Daj mi święty spokój!

JA (prosząco) Noo, nie bądź taki... przecież widzisz, że sama nie potrafię... (Ludwik z wściekłością chwytą za jeden but, Dziecko łapie za drugi, ciągną, tapczan odjeżdża razem ze mną)

LUDWIK (gniewnie do Gospośi) Niechże pani przytrzyma tapczan! (Gospośia trzyma tapczan, Ludwik i Dziecko ciągną) Co u diabła! Chyba za ciasne...

JA (urazona) Za ciasne? Skądże? Pasują jak ulał...

LUDWIK No nareszcie... (ciska z nienawiścią buty na podłogę)

GOSPOŚIA (podnosi je, bierze z obrzydzeniem w dwa palce, do Dziecka) Chodź, Kasiu. Zostaw teraz lepiej rodziców samych. (wychodzą)

JA (wstaje z tapczanu w skarpetkach, robię parę kroków, znajduję moje szpilki, wkładam, robię znowu parę kroków, zdejmuję, podchodzę do lustra)

LUDWIK (obserwując mnie pogardliwie) Wiesz, że słów mi brak... Naprawdę. (ze skargą) Wróciłem półprzytomny, spałem zaledwie dwie godziny... Ale co ciebie to obchodzi... (irytując się coraz bardziej) To jest właśnie twój styl. To świetnie potrafisz... Stawiać ludzi przed faktem dokonanym... Nie uprzedzając... Nie pytając o zdanie...

JA (nie słuchając, zaabsorbowana przyglądaniem się sobie w lustrze) Powiedz mi szczerze, jak ja wyglądam?

LUDWIK Głupio!

JA (podchodzę do tapczanu, grzebię pod poduszką, znajduję mój trójkątny kapelusz, bardzo pognieciony, prostuję go starannie, czyszczę rękawem, wkładam, podchodzę do lustra, poprawiam kapelusz) A teraz?

LUDWIK Jeszcze głupiej!

JA (podchodzę znowu do tapczanu, grzebię pod kołdrą, wyciągam szpadę, wyjmuję ją z pochwy, podchodzę do Ludwika, potrzebuję mu szpadę przed nosem) A teraz?

LUDWIK (cofając się, niepewnie) Hm... (znowu z gniewem) To już jest świństwo nie do opisanego. Mogłem się przecież skaleczyć. (bezzadanie) Słuchaj, ja się naprawdę boję, żeś ty zwariowała...

JA (dumnie) Co to ma znaczyć?

LUDWIK (gniewnie) Jak ci mogło w ogóle przyjść coś podobnego do głowy. Akurat dziś, kiedy ledwo stoję na nogach. Zaprosiliśmy przecież na wieczór tych ludzi. Trzeba coś przygotować. Ja nie będę miał na pewno ani chwili czasu. (z irytacją) Wybuchła podobno jakaś końska afera. Przed chwilą dzwoniła redakcja. Muszę o siódmej dać trzydzieści linijek...

JA (ze współczuciem) O mój biedaku! Oni naprawdę za wiele od ciebie wymagają. (dumnie) I to akurat dziś... (butnie) Miałabym ochotę zadzwonić do Grossmana i powiedzieć mu wreszcie, co ja o tym myślę...

LUDWIK (przerażony) Na miłość Boską! Lepiej nie. (z rezygnacją) Nie mówmy o tym, daj spokój. Zjedzmy wreszcie śniadanie, herbata będzie całkiem zimna... (siada przy stole, ja kładę szpadę i kapelusz na półce z książkami, siadam obok)

MATKA (schodząc z góry, po schodach, woła z daleka) Dzień dobry, dzień dobry! (wchodząc do pokoju, do Ludwika) Jesteś z powrotem? O, jak to dobrze... (podchodząc do stołu, do mnie) I ty już ubrana, co za święto dzisiaj... (siadając naprzeciwko mnie i wkładając okulary, z przerażeniem) Jezus Maria! Jak ty wyglądasz?

JA Ja? Dlaczego?

MATKA Jeszcze się pytasz. Spójrz lepiej do lustra. Ludwiku! Co się z nią stało?

LUDWIK Nic. Wszystko w porządku...

MATKA Ale popatrz na nią. Zawsze była mizerna, ale tak strasznie jak dziś nie wyglądała jeszcze nigdy. Po prostu skóra i kości. Twarz bezkrwista, żółto-

- zielona. Oczy zapadłe, gorączkowym świecą się blaskiem. Włosy przerzedzone, wargi białe. Ludwiku! Zaklinam cię, wyślij ją do lekarza...
- LUDWIK Owszem, chętnie. Napijesz się herbaty?
- MATKA Owszem, chętnie, nalej mi odrobinę... *(przyglądając mi się, dalej nie-spokojnie, do Ludwika)* O której wrócisz?
- LUDWIK Dopiero nad ranem...
- MATKA Ledwo stoisz na nogach...
- LUDWIK Nie, dlaczego... *(sięgając po gazety)* Bardzo cię przepraszam, nie czyta-łem jeszcze gazet. Mam dziś wiadomość... *(rozkłada gazetę, czyta)*
- MATKA Oni stanowczo za dużo od ciebie wymagają. Wyglądasz jak cień. *(patrząc na mnie)* Nie lubię się wtrącać, ale naprawdę nie dbacie o siebie. Czasem ser-ce mi się kraje, jak na was patrzę...
- LUDWIK *(znad gazety)* Coś takiego!
- JA Co?
- LUDWIK Niesłychane. Kradł koniom ogony...
- MATKA Kto?
- LUDWIK Józef Z. z Borek...
- MATKA Pierwsze słyszę... *(do mnie)* Ile będzie osób?
- JA *(do Matki)* Nie mam pojęcia. *(do Ludwika)* Po co kradł?
- LUDWIK Nie wiem... aha... sprzedawał potem włosie...
- MATKA Komu? Na miłość Boską, co to znaczy „nie wiem”?
- LUDWIK Wiem! Handlarzom włosiem...
- MATKA Nieprawdopodobne. Przecież trzeba coś przygotować. Widziałam wczoraj piękną szynkę na rogu. Może się jeszcze dostanie... *(podrywa się na krześle, woła)* Pani Wandziu! *(opada z powrotem, z rezygnacją)* Zapomniałam, poszła przecież na kurs. *(z nową energią)* Ludwiku! Oderwij się, powiedz, co kupić, sama się tym zajmę...
- LUDWIK *(pochłonięty lekturą)* Świetnie. Wszystko jedno. Kup kluski, groszek... *(z przejęciem)* Pomyśl tylko, całymi latami krążył po kraju i wszędzie ob-cinał koniom ogony. Zrobił na tym majątek.
- JA Coś takiego...
- MATKA Wy jesteście naprawdę obłąkani.
- JA *(do Matki)* No wiesz? *(do Ludwika)* Ile dostał?
- LUDWIK Trzy lata.
- MATKA Co?
- LUDWIK Więzienia...
- MATKA *(wściekła)* Uspokójcie się nareszcie z tymi ogonami. Niedobrze mi się robi. *(do Ludwika, błagalnie)* Powiedz przynajmniej, kto będzie, mniej więcej...
- LUDWIK *(odkładając gazetę, cierpliwie)* Po pierwsze delegaci z BLZ-u.
- MATKA Kto?
- LUDWIK To jest taka komisja do badania losu zwierząt w Europie Środkowej. Mają większość w Radzie Nadzorczej mojej Agencji „The Man in the Nature”.
- MATKA *(z przejęciem)* O Boże! To znaczy, że jesteś od nich zależny. To znaczy, że naprawdę powinniście się postarać. Ja was proszę. Nie siedźcie tak z za-łożonymi rękami... *(Ja podczas tego, nie słuchając, lustruje ciekawie moje kieszenie, znajduję i wyciągam grzebyk, złote lustreczko, w końcu zapie-czutowany papier. Łamię pieczęć, rozkładam papier, zaczynam czytać. Matka zezuje w moją stronę, przestaje mówić, płonie z ciekawości, wyciągając rękę)* Co tu masz? Co to jest? Pokaż...
- JA *(składając papier z powrotem)* Nic ważnego...
- LUDWIK *(pociągając nosem)* Co tu tak zapachniało? Jakieś perfumy...
- JA *(pociągając nosem)* Nic nie czuję. Zdawało ci się. *(składam szybko list i wpy-cham z powrotem do kieszeni. Z fałszywym zainteresowaniem do Ludwika)* Mów dalej... to bardzo ciekawe... *(Matka i Ludwik przyglądają mi się nieufnie. Ja zapinam starannie kieszeń na guzik)*
- LUDWIK *(z rezygnacją)* A więc członkowie delegacji: Gosta graf von Heyden-stamm — generał kawalerii w stanie spoczynku. Dalej, Adelajda baronowa von Tysenhaus. Dalej, doktor Wilhelm Mayer, sekretarz komisji... *(do Matki)* Poza tym twoje dwie kuzynki...
- MATKA O! To bardzo dobrze. Będą szczęśliwe. Ale słuchaj... a co z wujem Karolem?

LUDWIK Ojej! Zapomniałem o nim na śmierć.

MATKA O mój Boże. To bardzo niedobrze. Ja nie chcę się wtrącać. W końcu to jest wasze przyjęcie, ja wiem, że tu nie mam nic do powiedzenia. Ale to żeście o nim zapomnieli jest nie do wybaczenia. Wiecie, jaki on jest obraźliwy. Już w dzieciństwie miał pretensje do całej rodziny. Czuł się zawsze odsunięty, nie dość kochany. *(do mnie)* Może mogłabyś jeszcze do niego zadzwonić... Powinnaś to zrobić, naprawdę...

JA *(nie słuchając)* Dobrze, dobrze... *(wyciągam z kieszeni małą tabakierkę, oglądam ją z zainteresowaniem, otwieram, wysypuję trochę tabaki na rękę, podnoszę do nosa, zaczynam strasznie kichać)*

MATKA *(wściekła)* Idiotyczne żarty. Teraz ja mam już dość. Nie można się z wami w ogóle porozumieć. Wychodzę. I tak mam posiedzenie w Związku. Nie wiem, kiedy przyjdę. Nie czekajcie na mnie z obiadem. Róbcie, co chcecie. Kompromitujcie się. Ja umyвам ręce. *(wstaje i wychodzi trzaskając drzwiami)*

JA *(ciągle kichając)* Obraziła się. Naprawdę nie wiem o co. Okropnie się ostatnio zrobiła nerwowa...

LUDWIK *(sucho)* Nie dziwię się...

JA *(życzliwie)* Bo ja na przykład czuję się cudownie. Jak nowo narodzona. Nie masz pojęcia, jak taka metamorfoza robi świetnie na samopoczucie.

LUDWIK Doprawdy? *(z zainteresowaniem, choć niechętnie)* Ciągłe nie rozumiem, jak to się w ogóle stało?

JA Po prostu. „Fortis imaginatio generat casum” powiadają uczeni. Czyli: „Potęga wyobraźni czyni rzecz samą”. Wiesz przecież... takie rzeczy się zdarzają. Choć rzadko. Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się. Ceppus król Italii przyglądając się cały dzień walce byków i śniąc do tego całą noc o rogach, obudził się rano z rogami na głowie. A na przykład Pliniusz pisze, że widział na własne oczy, jak Lucius Cossitius w dzień swoich zaślubin zmienił się z mężczyzny w kobietę. Mogłbyś także spróbować.

LUDWIK Dziękuję. Przestań mówić bzdury. Wiem, wiem, wypełnianie szarych, codziennych obowiązków nie zaspokaja twoich ambicji. Nie czujesz się dobrze w roli matki i żony, tęsknisz za czymś więcej. Świetne sobie doprawdy znalazłaś wyjście z sytuacji. A ja? Czy pomyślałaś przez chwilę o mnie? Ja też mam przecież swoje ambicje i tęsknoty... Czy mnie wystarcza rola korespondenta „The Man in the Nature”? Może ja także chciałbym być kimś innym. Ale nie mogę. Bo moja praca to nasz chleb powszedni. Ciekaw jestem, co ty byś powiedziała, gdybym ja rzucił to wszystko któregoś dnia w diabły i obudził się rano jako Eleonora Roosevelt?

JA Próbowалаbym cię zrozumieć. Pomyślałabym — widocznie potrzebował tego. Odprowadzałabym cię na twoje kongresy, opiekowałabym się tobą, pomagała...

LUDWIK Jako Bonaparte? Ach, przestań! Szkoda czasu na takie rozmowy. Nie bój się. Ja zostanę sobą... *(patrząc na zegarek)* Idę się ubierać. O 11 muszę być już w ZOO. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jeszcze dziś musisz się zająć domem i przyjęciem. Od jutra rób, co chcesz. Osiadłaj konia i jedź nad Berezynę. Jest właśnie odpowiednia pora roku... *(wstaje i idzie w kierunku schodów. Ktoś puka. W drzwiach staje Ogrodnik)*

OGRODNIK *(do Ludwika)* To jakże będzie, panie redaktorze, z tymi różami, com je miał posadzić pod płotem? Bo pod płotem jużem skopał i mógłbym sadzić, jakby pies nie latał i nie sikał, i jakbym wiedział, gdzie te róże są... *(spostrzega nagle mnie, patrzy z osłupieniem i rzuca mi się do nóg ze skowytem)* Cysórz! Złoty mój...

JA *(zażenowana)* No dobrze, już dobrze. Niechże pan wstanie. U nas podłoga brudna. Pies błoto nosi z ogrodu.

OGRODNIK *(wyjąc u moich stóp)* Jasny Boże! Czy to sen czy jawa... stoi przede mną jak żywy...

JA *(podnosząc go z ziemi)* Niech się pan uspokoi. To jakże będzie z tymi różami, co je pan miał posadzić pod płotem. Niech je pan posadzi. Pod płotem. Są w piwnicy. Psa się nie będzie puszczać do ogrodu. I tak błoto nosi...

OGRODNIK *(wycierając sobie oczy kracastą wielką chustką)* Ja — wszystko dla was, powiedzcie tylko słowo...

JA No właśnie mówię. Są w piwnicy...

OGRODNIK (*machając ręką*) A niech leżą. Ja ludzi zwołam...

JA Po co ludzi? Sam pan da radę...

OGRODNIK Buty wdziałe inne, ogarnę się, polecę...

JA Boję się, że mróz może chwycić...

OGRODNIK Święte słowa. Czasu nie ma dużo...

JA O różach myślę...

OGRODNIK Nie czas o różach myśleć teraz... leczę, leczę, zaraz będę z powrotem... (*wybiega*)

LUDWIK (*ze schodów*) Gratuluje. Bardzo ładnie się zaczyna. Aha! Jak wróci i oprzytomnieje, to pchnijcie samochód parę metrów dalej, sprzed garażu pana Malewskiego. Motor chyba nawalił czy coś, a ja już nie mam ani chwili czasu...

JA Dobrze. Znajdź mi jeszcze Askenazego. Wiesz, te trzy tomy... (*wstydliwie*) „Napoleona...”

LUDWIK Wiem, wiem... (*wyjmując z półki trzy tomy Askenazego, kładzie przede mną z ironią*) Powodzenia! (*wychodzi*)

JA (*sama w pokoju. Zbieram na tacę resztki śniadania, odstawiam, ustawiam porządknie krzesła wokół stołu, przeglądam się znowu w lustrze, poprawiam mundur, który najwyraźniej nie jest zbyt wygodny, biorę do ręki tom Askenazego, przeglądam, przechadzając się, czytam półgłosem*) „Pierwszą w życiu przygodę uliczną z bladą nikłą Bretonką...” (*ze zniecierpliwieniem*) Ach! Bzdury... (*kartkuje dalej*) „Wysokie ambicje duszy całym swoim zakrojem wielkiej, wydzierającej się z młodzieńczą jeszcze świeżością do uwiecznienia siebie w dziełach istotnie wielkich...” (*zastanawiam się chwilę, mruczę*) Tak... tak... (*przeglądam dalej, czytam*) „Indywidualność przepotężna, sił i darów swych świadoma, praca impetem niewstrzymanym do wyniesienia się, zamanifestowania, panowania...” (*zamysłam się, biorę ołówek, podkreślam, czytam dalej*) „Wicehrabina, przekwitła, łatwa, wyszkolona, umiejąca ptasią dobrocią, egzotycznym i pseudoarystokratycznym urokiem zagrać na jego zmysłach. Wdowa po ściętym dowódcy...” (*macham ręką niechętnie, czytam dalej*) „Ale najwięcej miał mu dostarczyć wiadomości młodzieniec niepospolity... (*zamysłam się z rozmarzeniem, siadam w fotelu, czytam dalej*) adiutant jego sztabowy... kapitan... (*z zachwytem*) szczupły, kształtny, zgrabny, we wszelkich ćwiczeniach ciała, fechtunku, jeździe konnej, nawet tańcu, przednio po pańsku wyszkolony... Głowa przepiękna... lwia... Wybuchowo ufny, boczący się na kobiety, a znów do najżywszego podatny uczucia...” (*zamysłam się, rozmarzona, z książką w ręku. Pukanie do drzwi. Budząc się z zamyślenia, ciepłym tonem*) Proszę, proszę... (*do pokoju wchodzi Furman i szwagier Furmana. Chłop rosty i ponury, z chłopem małym i mizernym. Obaj w sztok pijani*)

FURMAN I Rączki całuję. Przyszliśmy z interesem...

FURMAN II O Jezu! A co to?

FURMAN I Nie bój się, szwagier, mów!

FURMAN II Kiedy se zapomniałem...

FURMAN I (*podpowiadając*) Rączki całuję, przyszliśmy z interesem...

FURMAN II Rączki całuję, przyszliśmy z interesem...

FURMAN I To już było, jedź szwagier dalej...

FURMAN II Kiedy się boję. Jeszcze raz zacznę... (*staje na baczność i z szacunkiem*) Rączki całuję, przyszliśmy z interesem...

JA No, już dobrze. O co chodzi?

FURMAN I No, mówże szwagier, mów...

FURMAN II Wszystko mi się myli, kiedy widzę, jak patrzy...

FURMAN I Kto się patrzy? W oczach ci się ćmi...

FURMAN II Tobie się ćmi, jak nie widzisz, że patrzy...

FURMAN I No to co, że patrzy. Mów!

JA No...

FURMAN II (*drżąc*) Już mówię... Nieporozumienie zaszło z winy szwagra...

FURMAN I Bo mnie szwagier nie powiedział...

FURMAN II Za robotę szwagier wziął...

JA Ile?

FURMAN I Dwieście...

JA No i co?

OBAJ Z tym my właśnie przyszli...

JA No to mówcie szybciej do diabła...

GŁOS ZZA DRZWI Co u diabła! Jest kto w tym domu, czy nie? Proszę wziąć tego psa, bo mnie pogryzie, a jak mnie pogryzie, to ja wam pokażę...

FURMAN II (podbiegając do drzwi) Panie, niech pan nie klnie...

FURMAN I (podbiegając do drzwi) Panie, trochę ciszej...

PAN MALEWSKI (wchodząc) A bo co?

FURMAN I (wskazując na mnie) Niech pan patrzy. Jak się zeźli...

FURMAN II (wskazując na mnie) Jak złapie szpadę...

PAN MALEWSKI Kto?

OBAJ (wskazując na mnie) Niech pan się tylko przyjrzy dobrze...

PAN MALEWSKI (z pasją) Co to za komedia? Groźby? Szantaże? Nie dla mnie takie sposoby. Ja milicję wezwę...

JA Pan oszalał? O co pan wrzeszczy?

FURMAN I Wrzeszczy. Fakt.

FURMAN II Nie wiadomo o co...

OBAJ My tu grzecznie... (kłaniając się) Rączki całujem. Przyszliśmy z interesem...

FURMAN II Nieporozumienie zaszło z winy szwagra...

FURMAN I Bo mnie szwagier nie powiedział...

FURMAN II Za robotę szwagier wziął...

FURMAN I Dwieście...

FURMAN II A za belki my nie wzięli...

JA Jakie belki?

FURMAN II Cztery belki całówki żem dał, dwie pod hamak, dwie do piaskownicy...

PAN MALEWSKI Co mnie obchodzą wasze zasrane belki. Ja nie mam czasu tu stać i słuchać o belkach...

FURMAN II Panie, licz się pan ze słowami...

FURMAN I Zasrane belki...

FURMAN II Dębowe belki...

FURMAN I Pan nie wiesz, o czym pan mówisz...

FURMAN II I do kogo pan mówisz...

PAN MALEWSKI Pan mnie nie strasz. I pan. Z mocniejszymi sobie radziłem...

FURMAN I Oj, żebyśmy tobie nie poradzili. Do cudzego domu włazi, wrzeszczy...

FURMAN II Belek na oczy nie widział, a obraża...

FURMAN I My tu przyszli cicho...

Wchodzi Monter z gazowni i staje w drzwiach.

MONTER Gdzie jest gazomierz?

JA A bo co?

MONTER (wyciągając pismo czyta bardzo szybko) „Po sprawdzeniu przewodu kominowego w lokalu numer jeden okazało się, że przewód kominowy, do którego jest podłączony piec gazowo-kąpielowy z łazienki lokalu numer jeden i piec gazowy z kuchni lokalu numer jeden obsługuje jednocześnie wyciąg wentylacyjny też łazienki i też kuchni lokalu numer jeden. Przewód nie posiada drożności, ponieważ w przewodzie znajdują się rury gazowe i wodociągowe. Piec gazowo-kąpielowy i piec gazowy należy przełączyć do następnego przewodu kominowego, a do czasu przełączenia zamknąć dopływ gazu do lokalu numer jeden na czas nieokreślony. Podpisano: kierownik grupy kontrolującej Józef Wojciechowski”. Gdzie jest gazomierz?

PAN MALEWSKI Ja wiem. Ja pokażę.

FURMAN I A to swolocz!

FURMAN II (do Montera) Panie! Co pan będziesz zamykał. Przecież oni dziecko mają małe...

FURMAN I (do Montera) Daj se pan spokój... (wskazując na mnie) Widzisz pan, przed kim stoisz...

MONTER (wzruszając ramionami) Kto by nie był, jak ma przewód kominowy niedrożny, to się gaz zamyka. Podpisano: kierownik grupy kontrolującej: Józef Wojciechowski.

PAN MALEWSKI Racja! A co, oni lepsi? Państwo psiakrew! Na wszystko ich stać, tylko nie na kaganiec. Pies po ulicy lata bez kagańca. Sam go własną ręką zastrzele, jak go jeszcze raz spotkam...

MONTER Zwariowałeś pan? Do psa będziesz pan strzelał jak ostatnia świnia...

JA (*biagalnie do Montera*) Proszę pana! Pies łagodny. Jeszcze nigdy nikogo nie ugryzł. Mąż jest dziennikarzem. Mamy dzisiaj przyjęcie. Co ja zrobię bez gazu...

MONTER Dziennikarz, nie dziennikarz, jak ma przewód kominowy niedrożny to się może zatruć...

JA Tyle czasu był niedrożny...

FURMAN II Trza mu dać w garść, to pójdzie...

FURMAN I Przecież też człowiek...

FURMAN II Widzi, z kim mówi...

FURMAN I Widzi, na co kogo stać...

FURMAN II Trza być dla niego ludzkim, to i on będzie ludzki, podziękuje i pójdzie...

PAN MALEWSKI Nie pójdzie. Zamknie gazomierz i potem pójdzie... Nakaz jest nakaz, przewód jest przewód. Powiedziano. Kto by nie był, jak ma przewód kominowy niedrożny to się zamyka. Zwłaszcza takiemu, co się stawia. Co udaje nie wiadomo co...

MONTER Panie! Co się pan mieszasz? Pana ten gazomierz czy co...

FURMAN I Pewno, że nie jego...

FURMAN II Wpadł tu z wrzaskiem i obraża...

FURMAN I A my grzecznie. Rączki całuję...

PAN MALEWSKI Cicho! Ja tu jestem za świadka, że jak pan grosz weźmie do łapy, to to dojdzie, gdzie trzeba...

MONTER Panie! Aleś pan jest. Kto tu mówił o łapówce? Pan jesteś człowiek. że nie daj Boże. Gdzie ten gazomierz?

JA (*histerycznie*) Dość! Nie pokażę. Proszę stąd wyjść! Wszyscy! Proszę przyjść, jak będzie mąż...

FURMAN I Ale po co głos podnosić, my tu przyszli grzecznie...

FURMAN II Za belki my nie wzięli, a te belki były moje...

FURMAN I To my teraz chcieli wziąć. I pójść...

JA Nie dam grosza więcej. Było dwieście umówione...

FURMAN I Bez belek...

JA Z belkami...

MONTER Gdzie ten gazomierz? Ja tu nie przyszedłem na rozmowy o belkach...

PAN MALEWSKI Ja też nie...

FURMAN I Ale my...

JA (*tupiąc nogą w skarpetce*) Proszę wyjść! Proszę wyjść natychmiast!

MATKA (*wchodząc w płaszczyku, z torebką, w kapelusiku, za nią Ludwik*) Dzień dobry, dzień dobry... Co ty tak krzyczysz, kochanie? Nie mogłam wytrzymać na zebraniu, niespokojna byłam o to przyjęcie. Przygotowałam już coś? Wyobraź sobie spotkałam Ludwika na ulicy, wracał właśnie z parku. Baronowa płakała podobno karmiąc łabędzie jak bóbr. (*z zaniepokojeniem*) Co się tu dzieje? Dlaczego się tak złościś?

FURMAN I Złości się...

FURMAN II Obraża. Fakt.

MONTER Przyszedłem gaz wyłączyć, bo przewód niedrożny. Chciałem po dobroci załatwić, ale się nie dało.

LUDWIK (*z gniewem*) Od pół roku mówi się o tym przewodzie. Nie mogłaś wcześniej wezwać kominiarzy?

MATKA (*pociągając nosem*) W całym domu czuć gaz.

WSZYSCY (*pociągając nosami*) Rzeczywiście. Czuć gaz...

FURMAN I Umówiliśmy się na dwieście bez belek, a teraz słyszym, że nie dostaniemy za belki...

FURMAN II Moje belki...

PAN MALEWSKI Nieładnie. (*do Ludwika*) Przyszedłem prosić, żeby pan przesunął samochód, bo nie mogę wyjechać z garażu.

LUDWIK (*do mnie*) Nie mogłaś przesunąć? Przecież cię prosiłem.

FURMANI (*chórem*) Fakt. Nie byłby się sąsiad tyle złościł.

MATKA Wiesz, że ty jesteś naprawdę nieodpowiedzialna. Jak się umówiłaś, to zapłać. Jak cię Ludwik prosi, to przesun. To wszystko takie proste.

JA (*histerycznie*) Dajcie mi spokój do diabła. Odczepcie się ode mnie!

MATKA (*z oburzeniem*) Jak ty się zachowujesz? Zwariowałaś kompletnie.

Wszyscy patrzą na mnie z oburzeniem, Pan Malewski robi krok do przodu, za nim Furmani i Monter, Ja rozglądam się bezradnie. Słychać nagle tętent konia, szybkie kroki w korytarzu. Do pokoju wpada młody, olśniewającej urody Oficer w napoleońskim mundurze. Poruszenie wśród obecnych.

OFICER (*zdyszany, salutując*) Nie mogłem przybyć wcześniej, Sire! (*rozglądając się po pokoju*) W czym mogę być pomocnym?

JA (*opadając na krzesło, z ulgą*) Ach! To pan. Witam pana. Spada mi pan jak z nieba. Błagam! Niech pan coś zrobi z tymi ludźmi.

OFICER (*surowo*) Panowie! Proszę natychmiast wyjść z pokoju i czekać w kuchni na dalsze rozkazy. Mam tu do omówienia sprawę najwyższej wagi. (*Furmani, Monter i Pan Malewski skonsternowani idą w kierunku drzwi*)

LUDWIK (*do Pana Malewskiego*) Niech pan mi przy okazji zrobi herbaty. Muszę natychmiast zabrać się do pracy. (*idzie po schodach do swego biurka, zaczyna pisać*)

MATKA (*zdejmując płaszcz i kapelusik siada w fotelu. Do mnie i do Oficera*)
Ja wam chyba nie będę przeszkadzać. Strasznie mnie nogi boła.

OFICER (*z galanterią*) Niestety, Madame...

MATKA (*wstając z westchnieniem*) No trudno. Potem mi wszystko opowiecie. (*wychodzi. Ja z Oficerem sami. Ja siedzę ciągle jeszcze w fotelu, Oficer stoi wyprężony w pozie pełnej szacunku*)

JA Ależ proszę... niechże pan siada... dlaczego pan stoi...

Oficer siada naprzeciwko mnie.

JA (*nachylając się ku niemu, tonem poufnym*) Ogromnie się zdenerwowałam. Gdyby nie pan, nie mam pojęcia, co by było. Skąd się pan właściwie wziął?

OFICER Siedziałem jak co dzień w Instytucie i nagle coś mnie tknęło. Pobieglem się przebrać i zdążyłem w samą porę...

JA Ach! Jak to ładnie z pańskiej strony. Byłam zupełnie bezradna. Gospościa chodzi na kurs krawiecki, szyje mężowi w tajemnicy szlafrok z różowej flaneli. Na nic innego nie ma już czasu. Mąż taki zapracowany. Pisz dla „The Man in the Nature” o wzajemnych stosunkach człowieka z przyrodą, ale strasznie go to męczy. Ma zupełnie inne ambicje i tęsknoty... Wolałby pisać o polityce, czy przynajmniej ekonomii. A poza tym... mówię to panu w zaufaniu, od dwudziestu już blisko lat pracuje nad dziełem „Agape i Eros”. Pan rozumie...

OFICER Niestety, nie...

JA Szkoda. To fascynujący temat. (*z szacunkiem w głosie*) Agape i Eros — to po grecku. A po łacinie Charitas i Amor... (*z lekkim znudzeniem*) Miłość i Miłosierdzie, czy coś w tym rodzaju... Wie pan... Miłość w jej różnych postaciach. Eros jako wieczna tęsknota duszy ludzkiej ku górze, kobieta jako Anioł lub Demon u boku faustowskiego w swych dążeniach mężczyzny... i tak dalej, i tak dalej... Ciągłe ma do mnie pretensje, że mu w tym nie pomagam... A ja... cóż... Wieczorem przychodzą goście. Ludzie, od których mąż jest zależny. I nawet nie wiem, na czym ich posadzę... Wszystko to takie dziwne i skomplikowane...

OFICER (*pocieszającym tonem*) Nie trzeba się tak przejmować. Po to przecież tu jestem, by pomóc... Pozwoliłem sobie nawet podjąć bez upoważnienia pewne decyzje, wydać w Instytucie drobne polecenia...

MĘSKI GŁOS (*w korytarzu*) Gdzie to pójdzie?

GŁOS MATKI Ja nic nie wiem, mnie nikt o niczym nie mówi...

OFICER (*podbiegając do drzwi*) Tutaj, tutaj, panie Macieju...

Wchodzi Woźny z Instytutu dźwigając obszarpaną, złożoną kanapkę z powyrywanyymi sprężynami.

WOŻNY Rączki całuję, panie dyrektorze. Gdzie postawić kanapkę?

OFICER (*rozglądając się*) Tutaj... albo nie... lepiej tutaj... (*ustawia kanapkę, przesuwając, przygląda się jej, próbuje wpechnąć sprężyny z powrotem*)

WOŻNY Pójdę teraz po zegar. (*wychodzi, wraca z ogromnym złożonym zegarem. Do Oficera*) A to gdzie damy?

OFICER Zaraz, zaraz... (*rozgląda się, zdejmując obraz ze ściany, stawia pod ścianą*)
Może tutaj... ale... (*puka fachowo w ścianę*) kołek trzeba będzie wbić...

WOŻNY Już się robi, panie dyrektorze... *(wali w ścianę)*

LUDWIK *(ze złością z góry)* Co się tam znowu dzieje... *(wychyla się, potem schodzi na dół, poprawia czule obraz, żeby się nie omsknął, ogląda zegar, sprawdza hak. Do Oficera)* Myśli pan, że wytrzyma?

WOŻNY *(wieszając zegar)* Wytrzyma, co nie ma wytrzymać. Już cięższe my z panem dyrektorem wieszali i nigdy nie puściło. Prawda, panie dyrektorze? No to ja już lecę... *(wyjmuje z kieszeni papierek)* Pan mi tu podpisze ten rewersik, bo jakby kontrol jaka była w magazynie albo co... *(Oficer podpisuje się, wciska mu banknot; wychodząc)* Rączki całuję, do widzenia...

LUDWIK *(nieufnie ogląda zegar, porusza wahadłem)*

OFICER *(podchodząc)* Co... nie chodzi? Pan pozwoli...

LUDWIK Chodzić chodzi, ale chyba źle...

OFICER Trzeba wyregulować, powinien bić i grać... *(zaczynają ciągnąć za różne sznureczki, nakręcają, postukują)*

LUDWIK Chyba tu się coś zahaczyło...

JA Tylko ostrożnie, Ludwiku...

OFICER Nie, nie, niech pan tu nie dotyka, to nie tu, to tam...

LUDWIK *(zapalając się)* Nie, nie, niech pan zostawi, ja już wiem... aha... nie...

OFICER Pan pozwoli, ja spróbuję, to chyba ta dźwigienka...

LUDWIK Wykluczone, niech pan pozwoli, to chyba ten sznureczek... O! Widzi pan... *(zegar dostaje obędu, bije cienko, grubo, gra jękając się i fałszując jakąś rozstrojoną melodyjkę. Ludwik z Oficerem patrzą na siebie niespokojnie)*

OFICER *(przysłuchując się fachowo)* Trybiki powyłamywane... *(uspokajająco)* Ale to się da naprawić. Pan by taki mechanizm mógł przywieźć z zagranicy, jakby pan wyjeżdżał...

JA A mnie się właśnie bardzo tak podoba...

LUDWIK *(słuchając)* Może masz rację... rzeczywiście... *(budząc się z rozmarzenia)* no, ale ja muszę z powrotem do pracy...

JA Przepraszam bardzo, panowie się nie znają... Mój mąż — mój adiutant...

LUDWIK *(sucho)* Bardzo mi przyjemnie.

OFICER *(niepewnie)* Mnie również.

OGRODNIK *(wpadając rozgorączkowany do pokoju. Jest teraz ubrany w coś w rodzaju kurtki mundurowej, ciągnie za sobą markietański wózek)* Melduję posłusznie. Cała kompania stoł w szyku przed domem. Wyciągnąłem wózek z szopy, będziem w nim wozić furaz...

LUDWIK To ja już nie przeszkadzam. Mnóstwo mam roboty. *(odchodzi na górę)*

JA Boże drogi! I co teraz będzie?

OFICER *(zdziwiony)* Jak to co? Trzeba ich rozlokować w ogrodzie...

OGRODNIK Ino żeby za bardzo nie wydeptali, bo świeżo skopane...

OFICER To już kaprale dopilnują...

OGRODNIK Jeś by trzeba dać, bo okrutnie głodni...

OFICER Weźmie się kocioł, kaszy ugotuje...

OGRODNIK Przyodziewek cieplejszy wydać, bo przymrozek chwyta...

JA *(do Oficera)* Nie napiłby się pan kawy?

OFICER *(do mnie)* Z przyjemnością... *(do Ogrodnika)* Na razie ogień niech rozpał, potem się pomyśli. *(Ja wychodzę)*

OGRODNIK Tylko żeby milicja nie przyszła...

OFICER Z milicją się załatwi...

OGRODNIK Konie głodne, zziajane...

OFICER Po owies trzeba będzie skoczyć i po derki. No idźcie już, idźcie, ludzi rozlokujcie, niech się pogrzeją przy ogniu, pośpiewają, w kości pogrąją, jak im się będzie cniło...

OGRODNIK Tak jest! *(wychodzi)*

JA *(wracam z tacką, dwie filiżanki, ekspresik)*

LUDWIK *(z góry)* Aa, zrobiłaś kawę...

JA *(zakłopotana)* Nie wiedziałam, że chcesz kawy. Prosiłeś przecież pana Malewskiego o herbatę. Już parzy...

LUDWIK A tak, racja... Chciałbym przy okazji zamienić z tobą parę słów. *(schodzi parę stopni niżej, Ja wchodzi parę stopni wyżej. Oficer dyskretnie sięga po książkę, zaczyna czytać, zapala się, robi notatki. Tonem lekko zdenerwowanym)* Postanowiłem się nie wtrącać. Ale robi się coraz później. Zaraz przyj-

dą goście. Popatrz, jak wygląda ten pokój. Jak stajnia. Popatrz na tę kanapę, sprężyny sterczą, siano się sypie...

JA Zwariowałeś? Przecież to nadzwyczaj cenny mebel. Bez obicia, no to co? Wiesz, jak u nas jest trudno o taki materiał...

LUDWIK Dobrze, dobrze... Co im dasz do jedzenia? Ja naprawdę nie mogę jeszcze sam robić zakupów...

JA Nikt ci nie każe. Zrobię twarożek ze szczypiorkiem, groszek w majonezie, trochę kielbasy, to wystarczy, mam nadzieję...

LUDWIK Chleba będzie dość?

JA Kupi się parę bochenków praskiego, parę bułek paryskich, graham, pumpernikiel...

LUDWIK Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak ty zdążysz ze wszystkim. Musisz się chyba przebrać...

JA (urazona) No wiesz... (Pan Malewski wchodzi z herbatą. Z szacunkiem) Gdzie mógłbym postawić herbatę, panie redaktorze?

LUDWIK (wskazując na biurko) Tam!

Pan Malewski niesie ostrożnie herbatę, stawia, wychodzi na palcach.

OFICER (zbliżając się z szacunkiem do mnie) Sire! Chciałbym zwrócić uwagę, że nie mamy już ani chwili do stracenia.

JA Już idę...

LUDWIK (ze złością) I zróbcie przynajmniej jakiś ład w tym pokoju.

JA (rozsiadam się majestatycznie na kanapce, poprawiam się, krzywię z powodu wystających sprężyn, potem zastygam w godnej pozie) I co dalej?

OFICER (popijając kawę i patrząc mi w oczy magnetycznym spojrzeniem) A teraz proszę zacząć działać...

JA (niepewnie) Czy ci ludzie są jeszcze w kuchni?

OFICER Tak jest!

JA Montera do domu odesłać i dać mu parę groszy, żeby nie był stratny. Reszta do mnie.

OFICER (kłaszcząc w dłonie) Panowie, proszę wejść...

Wchodzą kolejno: Ogrodnik, Furmani, Pan Malewski, za nimi wkrada się chyłkiem Matka.

MATKA Przepraszam, że przeszkadzam, ale kto przyprowadzi dziecko z przedszkola. Jeśli w tym domu nikt o tym nie myśli, to trudno, sama pójdę...

OFICER Chwileczkę...

OGRODNIK Panie złoty! Ludzie mi się z głodu pochorują. Zmrok zapada, a oni żyć nie dostali. Deszcz mży i ogień nie chce się palić. Żeby choć jakich kocy wynieść...

PAN MALEWSKI Ja do żony musiałbym zadzwonić. Przecież nie wie, co się ze mną stało.

FURMAN I I ze mną...

FURMAN II I ze mną...

OFICER Spokój! (do mnie, ze zniecierpliwieniem) No! Proszę zaczynać. Czekamy na rozkazy!

JA (jak wyrwana do odpowiedzi, jękam się, zacynam) Więc... no właśnie... od czego by tu zacząć ... (z desperacją, do Furmanów) Wy dwaj! Furmani chyba z zawodu?

FURMANI Tak jest, Wasza Wysokość.

JA Piękny stary zawód. Trzeba go umieć pełnić z godnością. Zajmiecie się końmi. (tonem komendy, ostro) Opatrzeć, czy się nie ochwaciły, owsa zadać, podkowy poprzybijać, derkami poprzykrywać, które się odparzyły, maścią posmarować, które zgonione wokół ogrodu przeprowadzić, by ostygły, napoić wodą z melasą, (łagodniej) zresztą sami przecież wiecie.

FURMANI Na piwko by się zdało. Bo przymrozek chwyta. A po piwku raźniej. A bez piwka chłodniej.

OFICER (surowo) Zrobi się swoje, będzie piwko. Odmarsz!

FURMANI (płaczliwie) Skąd my owsa weźmiem? I melasy?

OFICER Kupi się... (walenie w okno. To żołnierze z ogrodu, którzy podsłuchują z twarzami przyklejonymi do szyb. Oficer otwiera okno)

ŻOŁNIERZE (*blagalnie*) Prędko kupcie. Bo konie rzą. Zaraz milicja przyjdzie. Miała być kasza. I koce. Pies po ogrodzie lata. Wszędzie depcze. I sika. Potem będzie na nas...

MATKA (*niespokojnie*) Coraz później. Ja naprawdę nie wiem, co ty im wszystkim dasz na tę kolację. Trzeba by może rzeczywiście ugotować kaszy, albo bigos zrobić...

ŻOŁNIERZE Oj tak...

MATKA Albo barszcz z pasztecikami, sałatkę jarzynową...

ŻOŁNIERZE Z majonezem?

MATKA No jasne. Jest pudełko sardynek...

ŻOŁNIERZE Rumuńskich czy portugalskich?

MATKA Niestety rumuńskich...

ŻOŁNIERZE Eeee...

MATKA No trudno... Jakby była wątróbka, to bym zrobiła pasztet...

ŻOŁNIERZE A jest?

MATKA Chyba nie ma. Ale można zrobić jajka w majonezie...

ŻOŁNIERZE Znowu ten majonez...

MATKA Na deser herbatniki, babka... (*ocykując się z rozmarzenia i patrząc z przerażeniem na żołnierskie twarze*) Zaraz, zaraz... to ile w końcu będzie osób?

JA (*bezzradnie*) Sama nie wiem...

MATKA Jak to?

OFICER No już dobrze, dobrze... zaraz się zobaczy... (*do mnie*) Proszę mówić dalej...

JA (*krzycząc*) Pani Wandziu! Co pani robi?

GŁOS GOSPOSI (*z góry*) Wszywam rękaw...

JA Jak pani wszyje, to proszę kocioł duży od bielizny wynieść z piwnicy. Wypażyć porządnie, żeby mydłem nie cuchnął. Kaszy się w kotle nagotuje na kościach, dwie kostki margaryny włożyć...

ŻOŁNIERZE (*z żalem*) Margaryny?

JA No to masła...

GOSPOSIA (*z góry*) Kaszy nie ma...

JA (*do Ogrodnika*) Pan pójdzie do Samu, weźmie pan wózek z sobą, kupi pan kaszy dziesięć kilo, liści bobkowych, kości, chleba, groszku...

MATKA Majonezu...

LUDWIK (*z góry*) Wina, herbaty...

MATKA Ja już widzę, że będę musiała pójść z panem, bo inaczej pan połowy zapomni.

OGRODNIK (*z galanterią*) Czemu nie. We dwoje zawsze raźniej. W jedną stronę na wózkę mogę panią podwieźć, a w drugą stronę to już na piechotkę. Nóżki widzę zgrabne, młode...

MATKA (*z godnością*) No już... dobrze... dobrze... (*wkłada kapelusik, płaszczyk, bierze torebkę, sadowi się na wózkę*) Chętnie się przejadę... (*wyjeżdżając, za nimi wychodzą Furmani*)

PAN MALEWSKI (*markotnie*) A ja?

JA Pan mi tutaj uporządkuje gazety...

LUDWIK (*z góry*) Osobno dzienniki, osobno tygodniki, osobno miesięczniki...

JA Numerami, kolejno...

LUDWIK I porządnie, bo potem sprawdzę...

PAN MALEWSKI (*kucając wśród gazet, smutno*) To już państwo sami żonę uprzedzą...

JA Dobrze, dobrze... (*do Oficera*) No i jak to wyszło?

OFICER (*klaniając się z uwielbieniem*) Cudownie!

JA (*bardzo zadowolona*) Może pan teraz skoczyłby po dziecko?

OFICER Pojadę konno, to będzie szybciej.

JA Świetnie. A ja pójdę się przebrać.

AKT DRUGI

Ten sam pokój nieco później, uporządkowany już i schludniejszy. Po pokoju kręcą się Furmani, w kurtkach jak gdyby ordynansów, przy czym kurtka

małego jest za duża, a dużego za mała. Furmani rozstawiają popielniczki, przynoszą z kuchni talerze i szklanki, ustawiają krzeselka, ścierają resztki kurzu. Pan Malewski przykucnięty nad gazetami. Ludwik na górze pisze na maszynie. Zmierzch. Za oknem tony ognisk, sylwetka wartownika, który przechadza się tam i z powrotem, odgłosy żołnierskiej komendy, rżenie koni, gwar rozmów, cicha chóralska pieśń: „Łączko, łączko, łączko zielona. Któż cię łączko będzie kościł, gdy ja będę szablę nosił. Łączko, łączko, łączko zielona...”

PAN MALEWSKI (mamrocze) Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, sobota, niedziela... jednego piątku z maja brakuje, panie redaktorze...

LUDWIK (z góry) Zaraz, niech pan poczeka, muszę teraz wszystko skrócić o dwie linijki... (mamrocze) Obrzydliwe okoliczności towarzyszące sprawie... okoliczności towarzyszące sprawie... albo po prostu: okoliczności sprawy... tak, teraz dobrze...

PAN MALEWSKI Ile dostał?

LUDWIK Trzy lata!

PAN MALEWSKI Mało! (mruczy dalej) Dziewiętnasty, dwudziesty, dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi...

LUDWIK Błagam pana, niech pan liczy ciszej...

PAN MALEWSKI Jak liczę ciszej, to mi się myli.

LUDWIK Ale jak pan liczy głośno, to mnie się myli...

PAN MALEWSKI No już dobrze... (mruczy cicho. Żołnierze nucą głośniej: „Winko, winko, winko czerwone. Któż cię winko będzie pijał, gdy ja będę wroga bijał. Winko, winko, winko czerwone...”). Dzwoni telefon)

LUDWIK Halo — Zurych... tak... tu „The Man in the Nature”... tak... mniej więcej jestem gotowy... Mogę zaczynać? Chwileczkę... (do Pana Malewskiego) Panie Malewski! Niech no pan uciszy żołnierzy, bo nic nie słyszę...

PAN MALEWSKI (otwierając okno) Ciszej nućcie, przyjaciele. Pan redaktor rozmawia z zagranicą.

ŻOŁNIERZE Dajcie posłuchać...

PAN MALEWSKI Ale cicho, bo się zdenerwuje... (zostawia okno otwarte, kuca nad gazetami. Żołnierze skupiają się w oknie)

LUDWIK (do telefonu) Nic, nic, straszny tu hałas u mnie w domu... Uwaga, dyktuję: „Szóstego października w nocy, w miejscowości Borki miało miejsce wydarzenie istotnie oburzające. Zamieszkałego tam Jana G. obudzili znajomi furmani prosząc o wodę. Literuję: Wanda, Olga, Danuta, Ewa z haczykiem, w dół; e... e... e... Rozumie pani? Dalej... Jan G. otworzył drzwi od stajni i ujrzał, jak jakiś nieznajomy mężczyzna obcina ogon jego koniowi...

ŻOŁNIERZE (między sobą) Cooo? A co? Nie dosłyszałem... Obcina ogon... Kto? Komu?

LUDWIK Powtarzam, nieznajomy mężczyzna...

ŻOŁNIERZE A to bydle... Ale po co? A bo ja wiem. Cicho. Pewno zaraz powie...

LUDWIK Na widok gospodarza złodziej rzucił się do ucieczki, lecz został ujęty...

ŻOŁNIERZE (z ulgą) Noo... chwala Bogu...

LUDWIK Jak się okazało, kradł końskie ogony już od lat i sprzedawał potem włosie pokątnym handlarzom, osiągając wysokie zyski...

ŻOŁNIERZE Matko Boska! Co się dzieje w tym kraju...

LUDWIK W tym kraju, gdzie koń związał się na wieki w świadomości społeczeństwa z najpiękniejszymi kartami historii, okoliczności tej sprawy obudziły powszechne oburzenie...

ŻOŁNIERZE Dobrze mówi... my by mu dali... jakby tak wpadł w nasze ręce... Szczekanie broni, głuchy pomruk oburzenia.

LUDWIK Tak na przykład u mnie w tej chwili... (gaśnie nagle światło) Oj, przepraszam... nagle zgasło światło... chwileczkę... nic nie widzę...

ŻOŁNIERZE Skocz no tam który po świecę... pan redaktor nic nie widzi...

LUDWIK (w dół) Co się tam stało?

ŻOŁNIERZE Światło zgasło...

LUDWIK Dajcie tę świecę...

ŻOŁNIERZE Już pan dyrektor niesie... (wchodzi Oficer z jarzącym się świecznikiem w ręce) Co? Aha! O rany! To z elektrowni przyszli. Plombę na mufie założyli... (nagle głośno i radośnie) Hurra! Hurra! Hurra! Sto lat, sto lat, niech żyją, żyją nam... (strzały z moździerzy, krzyki, wiwaty)

LUDWIK Co się tam znowu dzieje do diabła... hallo... mówię się... proszę się nie rozłączać... hallo... hallo...

OGRODNIK (*wpadając w drzwi ze strasznym krzykiem*) Idą! Goście już idą. Kwiaty dzierzą w łapach. Niech pan do nich leci, panie redaktorze...

LUDWIK Jeszcze nie skończyłem... ciszej, błagam... hallo... dyktuję dalej... Koń, powiedziałem, koń cieszy się ogólną sympatią i żołnierze... na przykład u mnie za oknem... protestują gwałtownie... coś krzyczą... zaraz... zaraz... co?

OGRODNIK (*stojąc w drzwiach, wyprężony jak struna, krzyczy*) Jego Ekscencja Gosta graf von Heydenstamm...

ŻOŁNIERZE Hurra! Hurra! Hurra!

OGRODNIK (*ju.*) Wielmożna pani Adelajda baronowa von Tysenhaus... Pan doktor Wilhelm Mayer...

ŻOŁNIERZE Vivat, hurra! Niech żyją...

Goście wkraczają do pokoju. Panowie w cylindrach, białe rękawiczki, bobrowe futra. Baronowa w kapelusiku i etoli z nurków. Rzucają pańskim gestem futra w ramiona Furmanów, którzy ustawili się po obu stronach drzwi. Oficer salutuje, trzymając w drugiej ręce świecznik. Pan Malewski wypycha ukradkiem gazety pod półki. Ludwik pokrzykuje do telefonu swoje „hallo... proszę nie przerywać...”

MATKA (*witając w lansadach*) Witamy, witamy, jakże nam miło, proszę, proszę... Zięć kończy rozmowę z redakcją... (*woła*) Ludwiku! Błagam cię, skończ wrzeszczenie...

LUDWIK (*z rozpaczą do telefonu*) Hallo, hallo... no i przerwali... (*rzucając słuchawkę*) A niech to wszystko diabli wezmą...

GOŚCIE Ludwiku! Przyjacielu! Niech pan przyjdzie tu do nas...

LUDWIK (*schodzi z góry, zamyka gniewnie żołnierzom okno przed nosem, wita się*)

GOŚCIE Ach, kochany. Cóż to za niespodzianka dla nas. Cóż za przyjęcie. Cóż to za kraj niezwykły. Te ogniska przed domem, te rżące konie, ci ludzie tacy serdeczni... Dziękujemy, dziękujemy... Wzruszyliśmy się doprawdy... Wszystko jak za dawnych, dobrych lat...

MATKA Zięć rzeczywiście prześlicznie aranżuje zawsze takie przyjęcia. Państwo pozwolą... (*wskazuje na Oficera*) Dyrektor Instytutu Historii Sztuki Wojennej, pan Aleksander Józef S. — adiutant mojej córki. Niech pan podejdzie bliżej, panie Aleksandrze... A ci ludzie pod oknem to wojsko mojej córki... (*żołnierze krzyczą „hurra”... Oficer otwiera okno... żołnierze krzyczą głośnie*)

GOŚCIE Formidable... incroyable... urocze, doprawdy urocze...

DOKTOR MAYER Mnie aż zatkało... (*Graf i Baronowa patrzą na niego z niesmaką, Doktor Mayer poprawia się*) Formidable vraiment...

OGRODNIK (*wrzeszczy w drzwiach*) Kuzynki teściowej pana redaktora, redaktor Malinowskie...

MATKA Kochane! Wchodźcie, cieszę się, że was widzę...

KUZYNKI (*wchodząc i zdejmując płaszczyki*) Dzień dobry, dzień dobry... Tłumy u was dzisiaj. W domu i przed domem. Konie... Skąd właściwie ludzie mają dzisiaj na konie... Ludwiku! kochany... a gdzie twoja żonka...

MATKA (*nachylając się do ucha Kuzynek szepcze coś*)

KUZYNKI (*z zachwytem*) Co ty mówisz. To dla ciebie wielka radość. No i doczekałaś się pociechy. Myśmy ci zawsze mówiły... (*oddalają się w głąb pokoju gwarząc cicho z resztą gości. Ludwik rozlewa napoje*)

OGRODNIK (*wrzeszczy*) Wyżsi urzędnicy...

MATKA Prosimy, prosimy, niech panowie wytrą dobrze nogi... (*5 — 10 tak samo ubranych panów, mniej więcej w tym samym wieku, wchodzi do pokoju*)

OGRODNIK (*wrzeszczy*) Przyjaciele domu... (*znowu spora grupka panów, niektórzy z żonami*)

MATKA Ach dzień dobry, panie Krzysztofie, servus Jerzy, witam pana, panie doktorze, co słyhać, Kaziu, Zosiu, nie widziałyśmy się chyba już sto lat...

OGRODNIK (*wrzeszczy*) Aktoreczki, ślicznotki... (*wbiega 3 — 8 prześlicznych panienek*)

MATKA Wchodźcie szybciej, panienki, i zamykajcie drzwi, bo straszny przeciąg... (*prosząco*) Może by zamknąć okno?

ŻOŁNIERZE Nie, nie, nie... my chcemy także coś zobaczyć...

MATKA No trudno... rozgośćcie się państwo, córka zaraz przyjdzie... Panie Malewski, niech pan nam zagra coś tymczasem...

Goście skupiają się w grupkach, Ludwik wtyka Panu Malewskiemu skrzypce do ręki. Pan Malewski bierze skrzypce z ukłonem, próbuje fachowo, stroi, zaczyna grać „Ave Maria” Gounoda. Żołnierze oparci o parapet jak o bar, nucą, gwarzą, przyglądają się. Kiedy Ludwik przechodzi obok nich z butelką alkoholu, wyciągają do niego manierki, Ludwik nalewa. Goście zaczynają rozmowy.

LUDWIK (do Kuzynki) To cię zajmie. Graf Heydenstamm jest przewodniczącym Sekcji BLZ-u...

KUZYNKĄ (do Grafa) Ach! To ciekawe nadzwyczaj. A co pan tam robi?

GRAF (do Kuzynki) Badamy, chère madame, losy zwierząt w Europie środkowej. Przejechaliśmy z baronową i doktorem Mayerem setki krajów i doprawdy nigdzie, ani w Chinach, ani w Paragwaju, nie mówią już o Rumunii i Bułgarii, nie spotkaliśmy zwierząt tak tłustych i serdecznych jak tutaj. Baronowa płakała patrząc na łabędzie...

KUZYNKĄ (do Grafa) Ba! Łabędzie. To przecież nasza historia, nasza duma. A konie? Widział pan te konie przed domem Ludwika?

GRAF (poklepując Ludwika protekcjonalnie po ramieniu) Widziałem... Widziałem... No cóż... jeden z najlepszych korespondentów „The Man in the Nature”. Ogród przed domem. W domu, słyszałem, pies, kot...

LUDWIK Kot zdechł...

GRAF (łaskawie) No trudno... to się zdarza...

BARONOWA (w innym kącie pokoju do Oficera) Cóż to za zegar cudowny. Jaka szkoda, że nie z kukułką...

OFICER (ze zdziwieniem) Ależ pani! Z kukułką? To przecież empire, unikalny okaz muzealny. Świetnie zachowany. Był prawdopodobnie własnością Marii Luizy. Opisany w pierwszym tomie „Bau und Still des Empire” Heinemannna...

WYŻSZY URZĘDNIK (do Baronowej) Pan jest znanym specjalistą od sztuki, mebli i broni, autorem wielu cenionych dzieł... Pierwszy raz widzę pana w mundurze, panie dyrektorze... (Oficer skłania się w milczeniu)

BARONOWA Cóż to za kraj cudowny, co za ludzie...

MATKA (w innej jeszcze grupce. Do Drugiej Kuzynki) Wszystko ci kiedyś opowiem. Z początku byłam trochę niespokojna, ale muszę ci powiedzieć, radzi sobie świetnie...

PRZYJACIEL DOMU (do Matki) Istotnie, wyborna wędlina...

MATKA Prawda? To ta po 35.50...

PRZYJACIEL Żona zawsze kupuje tę po 30 i mówię pani, nie ma żadnej różnicy...

MATKA (ze smutkiem) Może głupstwo zrobiłam... oni, wie pan, są tacy rozrzućni, że i ja czasem przy nich głowę tracę... W całym domu światło się pali... dzisiaj na szczęście nie, bo wyłączone.

KUZYNKĄ DRUGĄ (do Matki) Słicznie, kochanie, wyglądasz, nie znam tej bluzeczki...

MATKA (do Kuzynki) Ach! Co ty mówisz, złotko, dałaś mi ją na gwiazdkę w zeszłym roku...

KUZYNKĄ (do Matki) No popatrz, jaką ja mam głowę...

AKTORECZKA Panie Ludwiku! Niech pan ze mną zatańczy...

LUDWIK Niestety, nie mogę. Baronowa oblała się rumem, biegnę po ścierkę...

MATKA Ludwiku! Nakrój jeszcze wędliny. Jedzą z ogromnym apetytem...

GRAF Niech pan do nas przyjdzie, panie Ludwiku, urzędnicy chwalą właśnie pański stosunek do przyrody tego kraju...

LUDWIK Zaraz przyjdę, Ekscelencjo, przyniosę tylko szmatę i wędlinę...

KUZYNKĄ I agrafkę, Ludwiku! Urwała mi się...

MATKA I herbaty, Ludwiku! Pan Kazimierz kona z pragnienia...

AKTORECZKA I jakiś szal, panie Ludwiku! Chłodno tu u was...

MATKA I zobacz, kochanie, co się z nią dzieje. Od godziny nie wychodzi z łazienki. Mogło jej się zrobić słabo...

DOKTOR MAYER I jakiś wazon, panie Ludwiku, bo zwiędłą różę dla małżonki. Kosztowały majątek...

Wszyscy patrzą na Mayera z niesmakiem. Mayer peszy się. Żołnierze za oknem wybuchają nagle radosnym wrzaskiem: „hurra”. Odgłosy werbli i strza-

łów na wiwat. Krzyki dam. „Mon Dieu”... „Co się dzieje”... Żołnierze machają rękami w kierunku schodów, wszyscy odwracają się także w tym kierunku. Po schodach majestatycznym krokiem schodzę Ja — Napoleon. Galowy uniform, szarfa w skos piersi, szpada, świąteczny pieróg na głowie. Szmer zachwytu. Ja cesarskim gestem pozdrawiam zebranych.

LUDWIK Państwo pozwola, moja żona...

JA (podchodzę wolno, witam się kolejno)

GRAF Cóż za szczęście dla mnie poznać wreszcie. We własnej osobie... Tyle słyszałem... czekałem z niecierpliwością... ręce całuję...

Wręcza mi bukiet róż, kiwam łaskawie głową, podaję dłoń do ucałowania, podaję różę Oficerowi, który stoi za mną.

BARONOWA (z dygiem) Bonsoir, enchantée de vous voir.

DOKTOR MAYER No nareszcie, czekaliśmy z niecierpliwością... pozwoliłem sobie przywieźć drobiażdżek, głupstewko w bardzo dobrym gatunku...

Wyciąga z kieszeni paczuszkę z pończoszками i wręcza mi, ja wzgardliwym gestem podaję ją Oficerowi, Oficer patrzy potępiająco na Doktora, odkłada paczuszkę, aktoreczki chwytają pończoszki ciekawie, rozpakowują, oglądają pod światło z zachwytem.

PRZYJACIEL DOMU Ukłony od żony. Wróciła właśnie z Paryża...

KUZYNKI Ślicznie wyglądasz, kochanie. (całuję mnie) Mama nam już wszystko powiedziała... cieszymy się bardzo, bardzo... jaki zabawny kapelusik... daj jeszcze raz buzi, złotko...

MATKA No, jesteś wreszcie. Co robiłaś tak długo? Biedny Ludwik już tu szaleje ze zdenerwowania. Nigdzie nie możemy znaleźć serwetek.

ŻOŁNIERZE Do nas prosimy, do nas! Na lyczek. Żołnierski. Za przyszłość. Za nasze dzieci i wnuki. Salut! Prosit! Na zdrowie...

JA (do Ludwika) Daj nam coś do picia, Ludwiku! Wiesz... coś mocniejszego. (Ludwik podaje mi szklanke, leje wódeczkę do żołnierskich manierek, Ja stoję pod oknem, wychyłam kielich z żołnierzami, gawędzę z nimi serdecznie, częstuję tabaką, mówię łaskawym tonem do zebranych wokół mnie gości) Proszę się bawić dalej... Nie przeszkadzam... Chętnie się przyjrzę...

Światło przygasa. Pan Malewski gra głośno czardasza. Goście zaczynają tańczyć. Jeden z Furmanów wraca z harmonią, gra. Jeden z żołnierzy przelazi przez okno z trąbką, grają teraz we trzech. Atmosfera staje się coraz bardziej swobodna, goście coraz głośniejsi, nieporządek coraz większy, coraz to któryś z żołnierzy przelazi przez okno i włącza się w balujący tłum. Ja oparta o futrynę popijam z żołnierzami, podryguję lekko do taktu. Jeden z żołnierzy odsuwa mnie z szacunkiem, skacze do pokoju, skłania się przed Matką.

ŻOŁNIERZ Nie odmówi mi pani?

MATKA (mile zaskoczona) Czy ja wiem? Sprobuje... Podobno nieźle tańczę...

Żołnierz porywa ją w tan. Hopsają zapamiętałe.

BARONOWA (przestaje konwersować, podbiega do okna, kokieterijnie do żołnierzy) Czy to byłoby faux pas, gdybym poprosiła którego z panów?

JEDEN Z ŻOŁNIERZY Ale skądże, dobrodziejko, cała przyjemność po naszej stronie...

Przelazi, tańczą. Pan Malewski tymczasem udaje Cygana, chodzi po pokoju ze skrzypcami i gra patrząc damom namiętnie w oczy. Oficer podchodzi do mnie, skłania się z szacunkiem. Pan Malewski podbiega do nas, gra teraz dla mnie.

JA (kładąc Oficerowi ręce na ramionach, kokieterijnie) Zatańczymy?

OFICER (sztywniejąc) Ależ Sire, to doprawdy nie wypada. Chciałem prosić tylko o chwilkę rozmowy.

JA (opuszczając ręce z rezygnacją) Trudno. Siadźmy wobec tego na kanapce. (siadamy)

GRAF (klaszcząc w dłonie) A teraz kozaka, panowie!

Pan Malewski, Furman i Żołnierz grają szybkiego kozaczka. Graf bierze nóż w zęby, tańczy, przebijając nogami, aktoreczka podbiega do niego, tańczą razem. Reszta gości otacza ich kołem, klaszczą rytmicznie.

JA (do Oficera) Niech pan spojrz jak pięknie. Taka jestem szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawna naprawdę szczęśliwa. Wszystko tak świetnie się udało.

(ciepło) Inna sprawa, że gdyby nie pan, pańska energia i doświadczenie, pańska pomoc i zaufanie, nic by z tego nie wyszło. Sama nie wiem, jak się panu odwdziaczyć. (z uczuciem) Taki pan jest dla mnie miły, taki dobry...

OFICER (zażenowany) No nie, nie przesadzajmy. Nie ma o czym mówić.

JA (niespokojnie) Ale jak się pan bawi? A może pan się nudzi? Niech pan mi powie szczerze. Może chciałby pan zatańczyć? Niech się pan naprawdę mną nie krępuje...

OFICER Ach skąd! Muszę powiedzieć otwarcie, że takie bale niezbyt mnie bawią. I trochę jestem niespokojny. Dotąd wszystko poszło dobrze, ale co dalej... (patrzac na zegarek) Największy czas, żeby pomówić poważnie...

JA (z rozragnieniem, patrząc na płasy) Tak, tak... oczywiście. Niech pan zaczyna...

OFICER (z naciskiem) O której odmarsz?

Graf i aktoreczka przelatują obok nas w prysiadach, krzyząc: „Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz...” Za nimi Matka z Żołnierzem, ciągnąc dalej: „Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz...” Baronowa z Furmanem kończąc: „mnogo, mnogo, mnogo...” Wszyscy: „jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz...” Baronowa opadając bezsilnie na fotel: „Ej! Quel plaisir!”

JA (odrywając z trudem wzrok od zabawy, nieprzytomnie) Co?

OFICER (surowo) Pytałem, kiedy odmarsz?

JA (zaskoczona) Odmarsz? A po co? ...Ach! tak... oczywiście... Czy ja wiem... szczerze mówiąc nie myślałam o odmarszu. To znaczy jeszcze nie myślałam... Widział pan sam... dzień był taki burzliwy. Ani się zastanowić, ani przemyśleć dokładnie... Wszystko stało się tak nagle... Jak pan myśli? Może w przyszłym tygodniu...

OFICER Wykluczone! Nie można ludzi przetrzymywać zbyt długo bez zajęcia. Próżniaczac zacząć się nudzić, potem burzyć, wreszcie rabować w okolicy...

JA Racja! (patrzac mu czule w oczy) Sądzi pan, że naprawdę będą nam potrzebni?

OFICER (karcąco) Co za dziwne pytanie! (stanowczo) Wyruszymy jeszcze dziś. Przed świtem...

JA Nie! To się nie da... Bal na pewno potrwa jeszcze długo...

OFICER Trudno. Wyjdziemy niepostrzeżenie.

JA Nie! Tego nie mogę zrobić. Trzeba przecież potem sprzątnąć...

OFICER (karcąco) Sire! (nalegająco) Nie możemy dłużej zwlekać. Wyjdziemy jak najszybciej... (marząco) Najlepiej maszeruje się, gdy noc blednie dopiero i żołnierz kołysząc się w kulbace drzemie jeszcze nie czując chłodu, a kiedy słońce wejdzie, prostytutki się nagle, otrząsą z nocnych majaków i wita dzień wesolą piosenką. Trzeba nam iść. Szlakiem zwycięstw i klęsk. Przez zapyłone, wiejskie drogi. Wilgotnym duktem boru. Górą. Doliną. Załsnia znowu w słońcu nasze lekkie lance, wyrzą spod kurzu zapomnienia kolory walki, wiatr przyniesie z sobą zapach armatniego kurzu, melodię starej pieśni...

JA (przejęta, nucę cicho) Ja myślałam, że to maki...

OFICER (głośniejsz, pięknym barytonem) że ogniste lecą ptaki...

RAZEM (pełnym głosem) A to ułani, ułani, ułani...

OFICER (patrzac mi w oczy znacząco) Hej dziewczyno, hej niebogo, jakieś wojsko jedzie drogą, skryj się za ścianę, skryj się za ścianę, skryj się, skryj...

JA (kokieteryjnie) Jeśli mu się wydam miła, to nie będę się broniła. Niech mnie zabiera, zabiera, zabieera...

Goście, którzy zgromadzili się wokół nas, nagradzają nas teraz rześzystymi oklaskami. Dziękujemy im skinieniem głowy. Goście rozchodzą się po pokoju.

JA (pod wrażeniem) To mogłoby być naprawdę cudowne. Cały dzień na świeżym powietrzu, a wieczorem zmęczeniu, odurzeni wiatrem prosiłbyśmy o nocleg i gościnę w napotkanych dworach. Wino... ciche rozmowy przy kominku... (reflektując się) Wie pan co? Ja właściwie nie siedziałam nigdy na koniu. Chociaż zawsze marzyłam, żeby się nauczyć... Sądzi pan, że potrafię?

OFICER No cóż. To kwestia czasu i dobrej woli. Sądzę, że po pewnym czasie nie będzie z tym trudności. O ile oczywiście nie dojdzie wcześniej do bitwy. W bojowym tumulcie łatwo niewprawnemu jeźdźcowi stracić równowagę i runąć pod końskie kopyta... (z rozmarzeniem) Tak, tak... à la guerre comme à la guerre...

JA (dość przestraszona) Oczywiście... rozumiem... (z namysłem) Właściwie mąż jeszcze wcale nie wie, że wyjeżdżam. Boję się, że będzie niemiłe zaskoczony.

OFICER (sucho) Powinien się być przecież tego spodziewać. Wcześniej czy później. Zdaje sobie chyba z tego sprawę, że żyje z kimś, kogo nie da się na zawsze zamknąć w czterech ścianach domu. Jak długo można, Sire, zajmować się wyłącznie dzieckiem i gospodarstwem. Jak długo można wegetować w cieniu mężczyzny. Kiedyś trzeba nareszcie spróbować własnych sił.

JA Tak, tak... Ma pan rację. A jednak będzie to dla niego straszny cios.

OFICER Trudno!

JA Mnie to martwi. I tak sobie myślę... (zastanawiam się chwilę) że może to, co osiągnęłam do tej pory, wystarczyłoby mi do szczęścia. Niech pan tak na mnie nie patrzy... Ale naprawdę... wszystko właściwie ułożyło się tak dobrze. Udany wieczór. Wszyscy tacy zadowoleni. Niech pan się na mnie nie gniewa... Jeśli teraz odejdę chyłkiem z żołnierzami, to będzie przecież wyglądało dość nieprzyzwoicie. Niech pan na nich spojrzy... Roześmiani, szczęśliwi. Myślę, że i oni zostaliby tu chętnie jeszcze troszkę... (błagalnie) Co? Panie Aleksandrze!

OFICER (patrząc na mnie z pogardą) Ach! Więc tak? (z bezbrzeżnym smutkiem) No cóż... mogłem się tego spodziewać... (z rozpaczą) Dałem się zwieść jak ostatni dureń! (gorączkowo) Od lat przecież czekałem na to wezwanie! Wszystko, co robiłem do tej pory w życiu, było tylko przygotowaniem do dnia, w którym dane mi będzie rzucić wreszcie moją obmierzłą, urzędniczą egzystencję! Włożyć mundur czynu! Pójsz! Bić się! Walczyć wreszcie o coś! Nie mogę już oddychać w dusznej atmosferze Instytutu. Zbieranie, otrząpywanie z kurzu i opisywanie strzępów dawnej chwały to nie zajęcie dla mężczyzny. Ja od lat przecież żyję samotnie, by nie uронić nic z tej mocy, którą czuję w sobie. Nie wiedziałem, że zostanie oszukany. Zadrwiono sobie ze mnie. Wszystko to, razem tylko próżność i dziecińada. Własne wojsko w domu, własny adiutant dla zabawy i nic więcej... Niczego naprawdę w życiu się nie pragnie, do niczego się nie dąży... (łamiącym się głosem) Sire! Dostałem cios w łeb, z którego nieprędko się otrząsnę. Proszę! Oto moja szpada... (zdejmuje szpadę, wręcza mi ją z desperacją)

JA (ustrząśnięta) Nie, nie! Aleksandrze! Błagam, niech się pan uspokoi. Ja przecież nie wiedziałam... tak mi jest przykro... tak przykro... niech pan weźmie tę szpadę... pan mnie źle zrozumiał...

OFICER Dość! Nie mówmy o tym więcej... (kryje twarz w dłoniach) Boże mój! Jakże ja tym ludziom męznym i ofiarnym spojrzę teraz w oczy...

ŻOŁNIERZE (z tylnych rzędów, przepychając się do przodu, do okna) Panie kochany! Gdzie sprawiedliwość? Jedni się bawią, kanapki żrą, tańczą, drudzy do okna dopchać się nie mogą. Weź pan tego psa! (jedni drugim podają nad głowami ogromnego bernardyna, Oficer zrywa się z miejsca, podbiega do okna, bierze bernardyna i stawia na podłodze) Puste miski nam wylizuje, zreć nie dostał, czy co? Miała być kasza. Wody by się gorącej zdało. Do golenia. Bo jak mamy przed świtem ruszyć, to kiedy się człowiek ogoli. Nitkę czarną prosiłbym. Bo mi trepy puściły. I budzik. Bo my możemy zaspać. Jak się w siano zakopiem. A chciałby my być gotowi. Nie zawieść. Nie zaspać... Goście, zgromadziwszy się wokół okna, nagradzają ich hucznymi oklaskami. Oficer podchodzi znowu do mnie.

OFICER Powiem im teraz, żeby wracali do domu. Nie dam z nich dłużej robić widowiska. Niech nie marzną na próżno w ogrodzie...

JA Nie! Błagam, nie! Niech pan im nic nie mówi...

OFICER Powiem! Powiem, że to był żart. Niech sobie idą skąd przyszli.

JA Nie! To byłoby straszne! (chwytając Oficera za rękę) Nie! Zaklinam na wszystko. Trudno. Jeśli nie można inaczej — pójdę...

OFICER Albo odejdą od razu i ja wraz z nimi, albo żądać będę żelaznej konsekwencji. Nie pozwolę grać z sobą dłużej w ciuciubabkę. A więc?

JA Powiedziałam już, że idę...

OFICER Jeszcze dziś?

JA Tak!

OFICER Jeszcze przed świtem?

JA (nagle znowu władczo) Do diabła ciężkiego! Powiedziałam przecież: tak!

OFICER (klaszcząc w ręce, gromko) Hej tam! W kuchni! Kasza!

Ogrodnik i Furman wnoszą ogromny kocioł z kaszą, stawiają go na parapecie, rozdzielają chochlą porcje do żołnierskich misek. Żołnierze ustawiają się w ogonku.

OFICER Smacznego, bracia!

ŻOŁNIERZE Dziękujemy najmocniej.

OFICER Płaszczcie macie?

ŻOŁNIERZE Rozmaicie. Trafi się i niezły płaszcz między wiarą. Osobliwie jeżeli po panu Ludwiku...

OFICER A buty?

ŻOŁNIERZE Wyniósł nam cesarz parę par, ale przeważnie za małe...

OFICER No to idźcie spać, przyjaciele. Sam będę budził, jak przyjdzie pora...

ŻOŁNIERZE (rozchodząc się) Dobranoc! Dobranoc! Dobranoc państwu! Dobranoc cesarzu nasz złoty! (Oficer zamyka okno)

MATKA No nareszcie. Przemarzałam do kości.

GOŚCIE Rzeczywiście chłodno było. Ale jakże niezwykle. Vraiment joli. No, ale na nas też już czas. Jutro nowy dzień. Wstać trzeba wcześnie. Niezapomniany wieczór. Dziękujemy. Dziękujemy. (padają gospodarzom w ramiona, całują dłonie Matki i moje)

BARONOWA (do Ludwika) Opiszę wszystko w kronice zagranicznej. Ale kto mi uwierzy...

GRAF (do Ludwika) Opowiem wszystko Grossmanowi. Od razu zmieni do pana stosunek.

MATKA (do Kuzynek) Cieszę się za Ludwika. To mu bardzo pomoże w pracy.

BARONOWA (do mnie) Nie zapomnę nigdy tych twarzy waszych tak żarliwych, tak pełnych wyrazu.

DOKTOR MAYER (do mnie) Chciałem porwać do walczyka, ale potem zapomniałem... (wszyscy patrzą na Doktora potępiająco. Doktor speszony) Pardonnez-moi. Do widzenia. Do widzenia.

PRZYJACIEL DOMU (do Matki) Ciekaw jestem, czy złapię jeszcze autobus?

OGRODNIK Panie, po co? Konie stoją pod płotem. Każdego konno do dom się odwiezie...

GOŚCIE O jak oryginalnie! O jak miło! (wychodzą)

OFICER (cicho do mnie) Nie żegnam się. O świcie wszak widzimy się znowu.

JA (z rezygnacją) Oj już... dobrze... dobrze...

OFICER Pójdę teraz popatrzeć, żeby ognia gdzie nie zaproszyli... (do Matki i Ludwika) Dobranoc państwu! Bardzo mi było miło...

MATKA Dobranoc, kochany. Dziękuję panu za wszystko. Sama nie wiem, co byśmy bez pana zrobili. (Oficer wychodzi)

Ja zmęczona siadam na krześle, nalewam sobie łyk wódeczki, piję. Matka i Ludwik siadają także. W pokoju nieład. Dopalające się świece.

MATKA (patrząc na zegarek i ziewając, tonem ciepłym i serdecznym) Aaaa, jak się późno zrobiło. Czas spać, dzieci...

LUDWIK Tak, tak... zaraz...

MATKA Muszę powiedzieć, że wieczór bardzo był udany. Jedli z apetytem, chwalili sałatkę... Ci od zwierząt bardzo mili. Trochę obłąkani, ale tacy entuzjaści. Mnóstwa się komplementów nasłuchiłam... Wytańczyłam się za wszystkie czasy... (z wyrzutem do mnie) A ty ani razu... Cały czas z tym... jak mu tam... wąsałam na kanapce. O czym ty z nim tak długo rozmawiałaś? Nawet ciocie zwrócili uwagę...

JA (niechętnie) Tak sobie rozmawialiśmy. Nieważne...

MATKA (z niepokojem) Żle się czujesz? Za dużo piłaś. I to z żołnierzami, w oknie... Patrzyłam z przerażeniem. (unosząc się) Jesteś jednak gospodynią. Musisz trochę uważać na siebie. Nie było serwetek. Za mało talerzyków. Nie można się było doprosić o herbatę. Biedny Ludwik wychodził z siebie, ale sam jeden nie mógł przecież podołać. Pani Wandzia palcem nie tknęła...

JA Miała migrenę...

MATKA (z oburzeniem) No wiesz? Mogłaś jej dać proszek. To już naprawdę przesada. Prawda Ludwiku?

LUDWIK (niechętnie) Ach! nie wiem. Umieram ze zmęczenia...

MATKA Połóż się kochanie... Ja też już pójdę... *(wstając)* I błagam was! Uspokójcie tych ludzi w ogrodzie. Niech się położą wreszcie i śpią, bo taki hałas, że nie będzie można zmruznąć oka. Co oni tam robią u diabła. Konie kapią o tej porze. Przecież to nie ma najmniejszego sensu. Wyrzuj no do nich Ludwiku!

LUDWIK Dobrze, dobrze... zaraz. Połóż się już. Odpocznij.

MATKA Ledwo stoję na nogach. Wszystko było na mojej głowie. Zrobiłam sałatkę, bawiłam ludzi... Gdyby nie ja, nie wiem co by było... O Boże, Boże, jaka ja jestem zmęczona. Idę natychmiast do łóżka. *(do mnie)* Wyglądasz naprawdę jak cień. Cioce także zwrócili na to uwagę...

JA Przestań! Błagam!

MATKA Jaka ty jesteś antypatyczna. Dziwię się Ludwikowi, słowo daję... Już nie powiem ani słowa. Dobranoc. *(wychodzi, jęcząc na schodach)* O Boże! Boże! Jaka ja jestem zmęczona...

JA *(życzliwie)* Naprawdę było przyjemnie. Nie uważasz...

LUDWIK Czy ja wiem?

JA *(troskliwie)* Zmęczony jesteś? Strasznie dużo paliłeś.

LUDWIK Daj mi spokój. Nie mów nic, jeżeli nie masz nic ciekawszego do powiedzenia.

JA Jesteś zły? Dlaczego? Wszystko tak się udało. Żołnierze nie przeszkadzali, przeciwnie, bardzo ożywili atmosferę. Teraz nakarmieni posną zaraz jak dzieci. Pan Malewski bardzo porządnie uporządkował gazety i grał też nieźle. Trzeba mu przyznać...

LUDWIK Będzie teraz u nas mieszkał?

JA Skąd? O Boże! Miałam go przecież zwolnić o północy. Jego żona pewnie tam szaleje.

LUDWIK Nie zadzwoniłaś do niej oczywiście.

JA Na śmierć zapomniałam. *(wołam)* Panie Malewski!

PAN MALEWSKI *(wchodzi, przecierając oczy)* Zdrzemnąłem się chwilę w kuchni. Czym mogę służyć?

JA Przepraszam pana bardzo. Zapomniałam o panu. Niech pan już idzie do domu i przeprosi żonę ode mnie. *(łaskawie)* Grał pan naprawdę bardzo ładnie.

PAN MALEWSKI Dziękuję najserdeczniej. To była dla mnie dobra nauczka. Żona będzie państwu także bardzo wdzięczna. *(do Ludwika)* Gdyby tylko pan był łaskaw kiedyś w wolnej chwili przesunąć samochód parę metrów, bo ja naprawdę nie mogę wyjechać z garażu.

LUDWIK Ojej. Zapomniałem.

PAN MALEWSKI Nic nie szkodzi, mnie się nie spieszy. Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Dobranoc państwu. *(wychodzi)*

JA Widzisz?

LUDWIK *(sucho)* Pogratulować. Boże! Jaki ja jestem zmęczony. Nic w ustach nie miałem cały czas.

JA Biedaku. Zjedz coś teraz. Zaraz ci zrobię herbaty.

LUDWIK Nie, dziękuję. Idę już spać. *(z irytacją)* Nie zdążyłem nawet z nikim porozmawiać. W przeciwieństwie do ciebie. Ten chce tego, tamten owego. To agrałki musiałem szukać, to ścierki. Gdzie ty trzymasz agrałki? Cały dom przewróciłem do góry nogami i nie znalazłem. Nie ma. Bo w tym domu niczego nie ma. Od roku nie mogę się doprosić, żebyś wreszcie zawiesiła firanki. Każdy żołdak biwakujący w ogrodzie może nam zaglądać do mieszkania. Popatrz na ten pokój. Popiół na dywanie, rozdeptane niedopałki, porozbijane kieliszki. W porządnym domu nikt nie miałby odwagi zachować się w podobny sposób. Popatrz na tę kanapę — płakać się chce. *(wstając)* Popatrz na moje spodnie, wczoraj prasowane a dzisiaj wyglądają jak szmata...

JA No wiesz... To już naprawdę nie jest moja sprawa.

LUDWIK Jasne. Ciebie obchodzi tylko twoje sprawy. Twoje wojsko, twój adiutant. Cały wieczór nie mogłaś się od niego oderwać...

JA Nie zauważyłam, żebyś ty miał ochotę na rozmowę ze mną...

LUDWIK Bo naprawdę nie miałem. Wszystkie te dziewczęta eleganckie, ładnie wyglądające, aż przyjemność popatrzeć. Tylko ty we wszystkim co włożysz wyglądasz jak kompletna wariatka. Jak ty dzisiaj jesteś ubrana. Cud, że ci nieszczęśni delegaci niczego nie zauważyli.

JA (dotknięta) Ludwiku!

LUDWIK Co Ludwiku! Ja chcę wreszcie mieć normalną żonę, normalny dom. Życ jak normalny człowiek... Uważasz, że za dużo wymagam?

JA Wstydyłbyś się...

LUDWIK Czego? Że chcę spokoju. Że nie chcę mieć wojska w domu i w ogrodzie. Że mam dość twoich dziwactw. Mam dość! Weź tego adiutanta, posadź żołnierzy na koniach i wynoś się z nimi do diabła...

JA (wzburzona) Zrobię to. Szybciej niż myślisz. Bardzo ci jestem wdzięczna za to, że mi ułatwiasz decyzję. Chwała Bogu są jeszcze ludzie na świecie, którzy mają do mnie inny stosunek niż ty...

LUDWIK Aha. Twój oficer... Nieszczęsny! Jeszcze cię nie zna. Jeszcze i on się gorzko rozczaruje. Przecież ty sama nie wiesz, czego chcesz.

JA Przestań. Ja odchodzę naprawdę. Chciałam ci to powiedzieć spokojnie, wytłumaczyć wszystko, a ty nawet w takiej chwili nie dajesz mi dojść do słowa, obrażasz mnie... (płacze)

LUDWIK (ze złością) Teraz jeszcze ryczysz. Bardzo ci z tym do twarzy. (łagodniej) No już... już... uniosłem się... jestem naprawdę zmęczony... Chodźmy spać...

JA (przez łyż) Za późno. Kości są rzucone. Za chwilę wyruszam w pole. Wygram, albo przegram. Dlaczego zresztą miałabym przegrać. Nie jestem taka głupia jak ty myślisz. I mam ambicję. Może podbiję Inflanty. Albo założę Nową Ligę Ludów. Spróbuję zyskać zaufanie Czechów i połączę się z nimi. Potem namówię jeszcze Węgrów i Rumunów. Może zgodzą się zjednoczyć. A jak nie, to nie. Nie będę ich zmuszać. Wymyślę coś innego. Wszystko jedno co. Byle by tylko nie słuchać twoich obelg. Nie musieć znosić twoich wiecznych pretensji...

LUDWIK Błagam! Uspokój się... (prosząco) Zdejmij ten idiotyczny mundur, wyśpij się. Zajrzyj jutro do Plotyna, uporządkuj nareszcie moje notatki, weźmy się znowu do „Agape i Eros”. To nam obojgu bardzo dobrze zrobi. Popatrz, tak inteligentnie mówiłaś jeszcze w piątek o etapach drogi powrotnej duszy z mnogości i rozproszenia niższych szczebli życia do prabytu u neoplatoników. Byłem pewien, że nareszcie zrozumiałaś, jakie to ciekawe.

JA Niestety, nie. Koniec z Agape i Eros. Chcę odejść, duktem, borem, zapyloną wiejską drogą, kołysząc się w kulbace, nucąc pieśń (z tęsknotą) nie myśląc o prabycie, ani o Plotynie, ani o drodze powrotnej...

LUDWIK (urazony) Dobrze. Jak nie, to nie. Rób wobec tego co chcesz. (z perswazją) Ale nie umiesz przecież nawet jeździć konno. Trudno. Jeśli ci rzeczywiście tak bardzo na tym zależy, to zatrzymaj żołnierzy tu w ogrodzie. Miejsca jest dość. Musztry, śpiewy, ogniska, wszystko da się w końcu jakoś zorganizować. Poszerzymy piaskownicę, żebyście mogli w niej z adiutantem ćwiczyć sobie strategię i taktykę.

JA (oburzona) Ty mnie naprawdę nie znasz, jeśli sądzisz, że to mi wystarczy. Manewry w ogródku — smutna pociecha mężatek. Nie! Ja nie jestem stworzona na żonę. Ja nie mogę tu rozwinąć skrzydeł. Ja chcę ci udowodnić, że potrafię coś zdziałać w życiu. Sama. Na własną rękę.

LUDWIK Teraz mam dość. Jesteś idiotka. Głupia jak but. Zdenerwowałaś mnie tak, że nie zasnę. Zrobię sobie herbaty... (idąc do drzwi) Chcesz też? (Ja milczy)

JA otwieram szafę, wyjmuję walizkę, wyrzucam z szafy na podłogę stertę ubrań, grzebię wśród pończoch, kiecek, majtek, bardzo zdenerwowana, niektóre rzeczy wrzucam byle jak do walizki, inne z powrotem do szafy. Wracam Ludwik z herbatą.

LUDWIK (ostro) Co robisz?

JA (spokojnie) Widzisz przecież. Pakuję się.

LUDWIK Uspokój się. Nigdzie nie pójdziesz. Kładź się spać. Natychmiast! (wytrząsa rzeczy z walizki, wrzuca do szafy, zatrząskuje szafę z hukiem)

JA (otwierając szafę z powrotem i wyrzucając znowu rzeczy do walizki) Nie rób awantur, bo zawołam straż!

Wchodzi Matka. W szlafrocze.

MATKA Co? Wy jeszcze nie śpicie? Jutro będziecie nieprzytomni. Swoją drogą trudno zmrużyć oko. Znowu jakiś ruch w tym ogrodzie... (wyglądając przez

okno) Zbierają się chyba do wyjścia... Chwała Bogu. Na dłuższą metę byłoby to naprawdę nie do wytrzymania...

W ogrodzie rzeczywicie ruch, biegania, rzenie koni, komendy. Ja pakuję dalej. MATKA O! Wyjeżdżasz. Nic przedtem nie mówiłaś. (do Ludwika) Zawsze się tak nagle decyduje. Pamiętam: przychodzi kiedyś do mnie w nocy; wyjeżdżam — mówi. — Dokąd? pytam. A, to już moja sprawa. — Z kim? pytam. A, to już moja sprawa. — Za co? pytam. A, to już twoja sprawa. (z rozrzuwieniem) Nic a nic się nie zmieniła... (Ja pakuję dalej, Ludwik ponuro pije herbatę. Matka zagląda ciekawie do szafy, wyciąga jakieś stroiki, podaje mi. Ja wrzucam je bez słowa z powrotem do szafy. Wyciągając sweter) Weź przynajmniej jakieś ciepłe rzeczy. Ty masz tę twoją nieszczęsną skłonność do bronchitów... (Ja wrzucam sweter do szafy) Po co ci ta bluzeczka, przecież już jesień. O! Beżowy kostiumik od cioci Zosi. Weź kochanie, tak ci w nim ładnie. I tę białą sukienkę, może będziesz miała jakąś okazję wyjść, potańczyć. A co to? Jaka ładna spódniczka. Nigdy mi jej nie pokazywałaś. Nie chcesz przymierzyć? To nie. Ale weź ze sobą. Nie możesz przecież bez przerwy chodzić w spodniach... (zrezygnowana) Ach! Zresztą co mnie to obchodzi. Rób co chcesz. Nie powiem już ani słowa. (siada obok Ludwika, Ja pakuję dalej. Do Ludwika półgłosem) Co ty myślisz o tym wszystkim? Boję się bardzo, że to jego wpływ. Ona jest taka lekkomyślna. Oczywiście nie ma przy tym nic złego na myśli. O to możesz być spokojny. Ale gdzie ona się wybiera? Na wojnę? Z jej krótkim wzrokiem? Albo może nie na wojnę. Tylko tak. Też dziwne. Ale nie tak dziwne. Co ty na to?

LUDWIK Nic.

MATKA No wiesz? Nie rozumiem cię...

JA (zamykając z trudem walizkę, do Ludwika) Przepraszam cię bardzo. Nie widziałeś gdzieś moich okularów?

Ludwik rozgląda się po pokoju, podchodzi do półki, podaje mi okulary.

JA Dziękuję. (rozglądając się bezradnie) I jeszcze kapelusz...

LUDWIK (rozgląda się znowu, znajduje kapelusz na parapecie, podaje mi)

JA (nieśmiało) No to ja już pójdę...

LUDWIK (podchodząc do mnie, cicho) Słuchaj, zastanów się jeszcze, proszę cię...

JA Nie. Nie mogę już zmienić decyzji. (ciepło) Pa.

LUDWIK (sucho) Pa.

MATKA (rzucając mi się na szyję) Kochanie! Pa. Wróć zdrowa. Uważaj na siebie i pisz albo telefonuj. Będę umierać z niepokoju...

JA (do Ludwika) Najchętniej wzięłabym dziecko ze sobą. Ale to niemożliwe. Uważaj na nią... (miętko) I na siebie.

OFICER (stając w drzwiach, stanowczo) Koń osiodłany, Sire!

Ja zdecydowanym ruchem odwracam się, macham jeszcze raz ręką Matce i Ludwikowi i wychodzę. Za mną Oficer niosąc moją walizkę. Za oknem tętent koni, stukot żołnierskich butów, komenda do wymarszu. Odjeżdżamy z pieśnią: „Łączko, łączko...” Pieśń oddala się wraz z nami.

LUDWIK (rozgląda się bezradnie, spostrzega moją szpadę zapomnianą w kącie, wychyla się przez okno, krzyczy) Stać! Zatrzymać się... Moja żona czegoś zapomniała...

Do pokoju wpada Oficer, Ludwik podaje mu szpadę, Oficer salutuje i wybiega.

MATKA (trwożnie) Jak ty myślisz. Co z tego wyniknie?

LUDWIK (sucho) Nie mam pojęcia. (przecierając oczy gestem ogromnego znużenia) Nie położę się już... Muszę natychmiast zacząć mój referat... Zrobię sobie chyba czarnej kawy... (wychodzi)
Matka bezradnie patrzy przed siebie.

AKT TRZECI

Ten sam pokój. Za oknem śnieg. Brudniej. Stosy gazet prawie pod sufit. Na tapczanie śpiący Ludwik. Ubranie jak zwykle na podłodze. Wchodzi Gospoia z głową owiązaną ręcznikiem, ciągnąc za sobą różowy szlafrok po podłodze. W drugiej ręce taca ze śniadaniem. Rzuca szlafrok leniwym, lecz ukrytego ognia pełnym ruchem na fotel, niedbale rozstawia filiżanki etc. Zbiera

z podłogi ubranie Ludwika, przyciskając niektóre części do serca i wykonując lubieżno-taneczne pas przed lustrem. Nuci:

GOSPOSIA

O przyjdź, z kwiatami czekam, z winogradem
Na łonie białym złożę i upoję...
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem
A otwórz cicho jak anioł podwoje
A od miesiąca weź klucza złotego
Cicho jak ogień szep Taj — bo mnie strzegą...

Wchodzi Matka. Gosposia peszy się i odskakuje od lustra cichnąc.

MATKA Coś ładnego pani nuci... Która to godzina?

GOSPOSIA *(siadając w fotelu i zaczynając obrębiać szlafrok)* Dziewiąta. *(nuci dalej)*

Gwiazdy zliczyłam idące po niebie
A ciebie nie ma... mój piękny i młody...

MATKA *(jedząc z roztargnieniem)* Co?

GOSPOSIA *(głośniej)*

O przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie
Rajskieć gotuje kwiaty i jagody...

MATKA *(z zadowoleniem)* Aaaa, wiedziałam od razu, że to coś znajomego. Zaraz, zaraz... jak to jest dalej... chwileczkę... aha... *(nuci fałszywie)*

Jestem pierzchliwa jako młode żrębie

GOSPOSIA

Jestem jak jagnię najsmaczniejsza z trzody

MATKA

Jak gołębicą jestem nieobronna

GOSPOSIA

A jestem jak kwiat rajski cała wonna...

MATKA Nawet nie przypuszczałam, że do tego jest melodia.

GOSPOSIA Sama dorobiłam...

MATKA A wie pani, co to jest?

GOSPOSIA Wiem. „Król-Duch”: Rapsod czwarty. Pieśń Sunamitki.

MATKA No właśnie. Co ten pan Ludwik tak śpi i śpi...

GOSPOSIA Może zmęczony. Późno w nocy wrócił... *(sentymentalnie)* Cicho u nas teraz, spokojnie... Prawda?

MATKA Trochę brudno.

GOSPOSIA To nic. Chciałam się pani o coś spytać.

MATKA Proszę, proszę...

GOSPOSIA Czy pani wierzy w to, że istnieją chwile boskiej równowagi, w których pęk całkiem zanika — jak u Platona, Danta, Słowackiego, Joanny D'Arc?

MATKA Pierwsze słyszę... Zresztą, czy ja wiem, musiałabym się nad tym zastanowić. Ciekawe, gdzie on mógł być tak długo. Może tęskni. W każdym razie powinien...

GOSPOSIA Eeee! Czytała pani Korniga „Hygiene der Keuscheit”?

MATKA Ależ skąd? Dziecko drogie. Czego pani jeszcze ode mnie chce?

GOSPOSIA Niepotrzebnie się pani zaraz obraża. Wyszło w tłumaczeniu dra A. Fabiana pt. „Higiena skromności”. Mogła się pani była z tym zetknąć. Podobno jest taki szczebel istnienia duchowego, na którym Król-Duch z Bogiem bezpośrednio już obcuje nie potrzebuje nawet anioła-kobiety. Budda, gdy miał zbawiać świat, opuścił żonę, a Chrystus ani św. Paweł żony w ogóle nie mieli...

MATKA No, to co. Zdarzają się wyjątki. Od normalnych mężczyzn nie można tego wymagać. Po co pani właściwie myśli o tych sprawach?

GOSPOSIA Bo muszę. Jak bym nie myślała, to bym zwariowała. Odkąd pan Ludwik sam został, myślę bez przerwy. Przedtem zupełnie nie mogłam. Miałam w głowie kompletną pustkę...

MATKA A może by tak podłogę zaciągnąć?

GOSPOSIA Pan Ludwik nie da. Mówi, że pastą śmierdzi.

MATKA Pewnie że śmierdzi, ale można wywietrzyć...

GOSPOSIA Pan Ludwik nie da. Mówi, że mu zimno...

MATKA Bo pewnie chory. Śpi i śpi...

GOSPOSIA Niech śpi. Ja przez ten czas szlafrok obrebę, to będzie mógł od razu przymierzyć. *(patrząc w okno)* Chciałabym od poniedziałku zostać Herodiadą.

MATKA Jezus Maria! Dlaczego?

GOSPOSIA A dlaczego nie? I ja bym chciała wreszcie mieć coś z życia. Jak Katarzyna de Medicis. Albo Joanna Papieżycza.

MATKA Przeraża mnie pani. Nie wolno sobie w życiu stawiać za dużych wymagań. Zawsze to powtarzam. Gdybym ja chciała bez przerwy wyobrażać sobie, czym chciałabym być, to nie byłabym tym, czym jestem. Słowo daję, że się boję. On tak jakoś dziwnie oddycha...

GOSPOSIA Strasznie pani nerwowa...

MATKA Chyba go dotknę. Jak się obudzi, to niech śpi dalej...

GOSPOSIA A jak nie...

MATKA O Boże! Niech mnie pani nie straszy... *(podbiega do Ludwika, szturcha go, krzycząc)* Ludwiku! Ludwiku!

LUDWIK *(budzi się z krzykiem)* Aaaa... Co się stało?

MATKA *(uspokojona)* Nic, nic. Chciałam tylko zobaczyć, czy śpisz...

LUDWIK Nie, nie śpię...

MATKA A dlaczego tak krzyczałeś?

LUDWIK Przyśniło mi się, że zostałam Eliza Orzeszkową...

MATKA Aha. No to śpij dalej...

LUDWIK *(wyłączając z łóżka)* Teraz już nie zasnę...

GOSPOSIA No to niech pan zmierzy szlafrok.

LUDWIK Nie zmierzę. Nie mam czasu. Gdzie są gazety?

GOSPOSIA Nie dostanie pan gazet, póki pan nie zmierzysz.

MATKA No zmierz, Ludwiku, otrząśniesz się z tego koszmaru. Pani Wandzia całe rano siedzi nad robotą. Nie możesz jej tego zrobić.

GOSPOSIA Jak nie teraz, to nigdy. Mogę całą robotę wyrzucić do kubła. Mam na kursie klasówkę z szlafroka. Chyba że pan mi chce na złość zrobić.

MATKA *(łagodząco)* Nikt tu pani nie chce na złość zrobić. No, Ludwiku, sama jestem ciekawa. *(wpycha wraz z Gosposią na Ludwika różowy szlafrok)*

GOSPOSIA Niech się pan wyprostuje.

MATKA Wyprostuj się, Ludwiku.

GOSPOSIA Podszewkę się da granatową, lamówkę...

MATKA Kolor jakiś dziwny.

GOSPOSIA Przykurzy się, dymem nasiąknie, to ściemnieje. Naszemu panu w jasnym do twarzy...

MATKA Rzeczywiście pod kolor oczu. Obróć się, Ludwiku.

GOSPOSIA Tu się robi zasewkę, rękawy wywijane, szalowy kołnierz. Niech pan podniesie ręce do góry.

MATKA Podnieś, Ludwiku, ręce do góry.

GOSPOSIA Chyba tu trochę pije, to ja zaraz podetnę... *(pakuje Ludwikowi nożycki pod pachę)*

LUDWIK Au... boli.

GOSPOSIA Trudno. Poboli i przestanie. Niech się pan nie rzuca.

MATKA Nie rzucaj się, Ludwiku, bo ci pani Wandzia może krzywdę zrobić. No pokaż się. *(z uznaniem)* Wiesz, że bardzo ci w tym ładnie. Nawet nie przypuszczałam. Podziękuj pani Wandzi.

LUDWIK *(przyglądając się sobie z obrzydzeniem)* Mogę już to zdjąć?

GOSPOSIA Jeszcze nie. Muszę spojrzeć z daleka. *(odchodzą z Matką na koniec pokoju)* A teraz niech się pan powoli obraca.

Ludwik obraca się powoli. Matka i Gosposia przyglądają mu się z zachwytem. W korytarzu szybki stukot kobiecych obcasików. Drzwi otwierają się gwałtownie. W drzwiach staje Dama w białej koronkowej sukni z ogromnym dekoltem. Na ramionach szal. Platynowe, kunsztownie upięte loki. Młoda, pulchna, dość pospolita, ale przecież bardzo pończota. Suknia jakby przycięsna, Dama czuje się w niej widocznie dość nieswojo. Od czasu do czasu obciąga suknię to w dół, to w górę, trochę się w niej płacze i potyka. Przy pozorach pewności siebie jest wyraźnie zakłopotana.

DAMA *(zdyszana od biegu, oddychając szybko, zaglądając do pokoju i cofając się speszona)* Oh! Zdaje się, że przeszkodziłam... *(patrzy na kręcącego się Ludwika. Ludwik staje)*

MATKA (ciągle jeszcze zaabsorbowana kręcącym się Ludwikiem, z roztargnieniem) Nie, nie, przeciwnie, bardzo nam miło... (patrząc na Damę nieufnie, tonem niezbyt życzliwym) Proszę, proszę... niech pani wejdzie. Tylko drzwi niech pani zamknie, bo zięć nie ubrany. (nieżyczliwie) Czym można pani służyć?

DAMA (przestraszona i ciągle jeszcze zdyszana) Ja właściwie tylko tak... przechodząc... wpadłam na chwilę... Może innym razem? (patrząc na Ludwika) Bo ja do pana...

LUDWIK (ożywiając się) Proszę, proszę... niechże pani siada...

Podbiega i podsuwa Damie krzesło. Dama siada, zsuwa szal z ramion, oddycha dalej szybko, falując pulchnym biustem.

MATKA (przyglądając się jej nieufnie) Ubierz się najpierw, Ludwiku. Nie będziesz przecież w takim stanie rozmawiać z panią. Pani poczeka...

DAMA (trwożnie) Ależ oczywiście. (Ludwik gasnąc znowu, pokornie idzie w kierunku schodów)

GOSPÓSIA (rzuca się za nim z krzykiem) Szlafrok! Niech pan odda szlafrok! (zdiera z niego szlafrok. Ludwik obciągając z zażenowaniem piżamkę znika)

MATKA (przyglądając się dalej nieufnie Damie) Pani nie chłodno? (do Gosposi) Pani Wandziu! Mogłaby pani zrobić herbaty?

GOSPÓSIA (ponuro) Nie ma mowy. Muszę obrzucić do końca. Pani wie. Poniedziałek za pasem. (wychodzi)

MATKA (wyjaśniająco) Od poniedziałku chce zostać Herodiadą. Aż boję się myśleć, co się z nami stanie. Do niczego się nie wtrącam, o nic nie mam pretensji, ale istotnie trudno czasem wytrzymać w tym domu. Cóрка wyjechała... (patrzy badawczo na Damę) nie wiem, czy pani słyszała? (z naciskiem) Ale wróci niedługo. A tymczasem wszystko na mojej głowie. Sama drób taszcze z miasta, masło, jarzyny, sery...

DAMA (ze współczuciem) Ach! Jakie strasznie smutne rzeczy pani mi tu mówi...

MATKA Prawda? (wyjaśniająco) Jestem pisarką. Pani pewnie słyszała?

DAMA Oczywiście, oczywiście...

MATKA Cieszę się. (patrząc znowu badawczo na Damę) Pani przejazdem, czy też mieszka pani tutaj stale? (maca rąbek sukni Damy) Cóż za cudowna stara koronka... (niespokojnie) Pani ubiera się nadzwyczaj oryginalnie... (z zadumą) Ładna suknia...

DAMA (podciągając suknię na białe, z zażenowaniem) Trochę przyciasna.

MATKA (łaskawie) Nie, dlaczego... (znowu z zadumą) Jakież jednak ładna suknia ma znaczenie dla kobiety... Zawsze to powtarzam córce, ale bezskutecznie... (znowu niespokojnie) Pani do zięcia? Można wiedzieć, w jakiej sprawie?

DAMA (speszona, owijając się znowu szalem) W osobistej...

MATKA Aaaa... w osobistej... Pani wie... zięć jest ostatnio bardzo zajęty. (dumnie) To człowiek o szerokich horyzontach, wielkich ambicjach. Bardzo wątpię, czy będzie mógł pani pomóc. Pani co robi, jeśli można wiedzieć?

DAMA (zażenowana) W zasadzie zajmuję się domem... ale w tej chwili... sama nie wiem... miałam ostatnio bardzo ciężkie przejścia...

MATKA Tak... tak, ciekawe... (badawczo) Pani jest mężatką?

DAMA (jąkając się) Tak... to znaczy właściwie nie... to znaczy tak i nie...

MATKA Aha! Rozumiem. (po namyśle) Niech się pani nie gniewa, niech mnie pani dobrze zrozumie... (biorąc Damę za rękę) Pani wie... Przede wszystkim jestem matką...

DAMA (urazona) Proszę pani!

MATKA (uspokajająco) No już... dobrze... dobrze... Zrozumieliśmy się, prawda? O! jest zięć... (wychodzi Ludwik, wyświeżony, ogolony, w garniturze. Dama przygląda mu się z upodobaniem) No cóż, nie będę wobec tego przeszkadzać... (do Ludwika) Pogawędziliśmy sobie z panią bardzo miło... (wychodząc, niespokojnie, błagalnie) Ludwiku!

LUDWIK Słucham cię?

MATKA (machając ręką z rezygnacją) Nic, już nic... (wychodzi)

LUDWIK (siadając naprzeciwko Damy, nachyla się ku niej, tonem ciepłym i zachęcającym) Czym mógłbym pani służyć?

DAMA (*onieśmielona*) Ja przepraszam, naprawdę przepraszam, że się ośmieliłam...
 LUDWIK (*życzliwie*) Bardzo mi miło. (*śmiejąc się*) Zastała mnie pani w dość niezręcznej sytuacji...

DAMA Dlaczego? Bardzo panu było ładnie w tym szlafroczku.

LUDWIK (*z gniewem*) Ach! Niech pani da spokój! (*patrząc na zegarek*) Ojjoj, jak się późno zrobiło. (*wyjaśniająco*) Mam na dzisiaj artykuł do napisania. Nie czytałem jeszcze gazet. (*uspokajająco*) Nie szkodzi. Zdamy jeszcze chwilę porozmawiać. Swoją drogą to okropne żyć ciągle w takim pośpiechu. Jestem korespondentem „The Man in the Nature”. (*z niechęcią*) Idioty-czna praca!

DAMA (*żywo*) Niech pan tak nie mówi. Ja na przykład czytam wszystko co pan pisze z zapartym tchem. (*nachylając się do Ludwika*) Niektóre pańskie artykuły znam na pamięć. Ot, choćby ten: (*wstaje, deklamuje z przejęciem*) „Szóstego stycznia w kniei hrabiny Wilmy Reyowej w Psarach odbyło się polowanie w dwadzieścia sześć strzelb. Padło rogaczy sześć, zajęcy pięćdziesiąt osiem. Szkoda wielka, że wielu panów nie mogło przybyć z powodu poodmrażanych rąk, uszu, a nawet i brody, o czym zawiadamiali telegraficznie, bo byłby rezultat w czwórnasób korzystniejszy”. (*siadając, konfidencko*) Uwielbiam polowania...

LUDWIK (*niechętnie*) To nie moje. To jakaś stara wiadomość.

DAMA Szkoda. Widocznie mi się pomyliło.

LUDWIK (*gniewnie*) No widzi pani. Tak to jest. Czyta się, myli się i od razu zapomina. Bo to wszystko nic nikogo nie obchodzi. Jak bym ja chciał móc pisać o czymś innym! Przecież pani wie... w tym kraju pulsuje życie. Wystarczy tylko sięgnąć po gazety i można czerpać tematy pełnymi garściami... (*podnosi z ziemi gazetę, czyta*) „Nowy system premiowania za produkcję eksportową ma wejść w życie jeszcze w tym miesiącu...” albo: „Usprawnienie inwestycji przemysłowych — kluczowy problem gospodarczy...” albo „Od obrabiarek do lodówek — przemysł modernizuje produkcję...” Ach! Boże, Boże! (*rzuca gazetę na ziemię*) Co chwila coś nowego. Zebrania. Zjazdy. Kongresy. Spotkania. Posiedzenia. Rezolucje. Jubileusze. Rocznice... Chciałoby się mieć czas, by śledzić to wszystko... a tymczasem (*podnosi z ziemi jakieś kartki, potrząsa nimi gniewnie*) proszę, to mój ostatni artykuł... (*czyta z obrzydzeniem*) „Osobliwe odkrycie zrobił w ostatnią sobotę pewien myśliwy w okolicach Blińska. Spostrzegł bowiem biegnącego zająca, który na plecach niósł jak gdyby drugiego. Wypalił i trafił biegnącego. W tym momencie zające wywinęły koźła i pobiegły dalej z tym że teraz biegł ten, który przedtem był na górze, niosąc na plecach tego, który przedtem był na dole. Myśliwy, który na szczęście miał ze sobą dwururkę, wypalił jeszcze raz... (*rzucając kartki z niechęcią na podłogę*) I tak dalej i tak dalej...”

DAMA (*z przejęciem*) I co dalej, i co dalej...

LUDWIK Z czym?

DAMA Z tym zającem... umieram z ciekawości...

LUDWIK (*pogardliwie*) Nic ważnego. Myśliwy trafił także drugiego i przekonał się, że oba były zrosnięte plecami. Syjamskie zające po prostu. Czasem biegł jeden, czasem drugi...

DAMA (*z przejęciem*) Boże! Jakżeż bogata jest twoja menażeria. (*surowo*) Bardzo się panu dziwię, że pan tak narzeka na swoją pracę. Ja na pana miejscu byłabym szczęśliwa. Mnie takie sprawy interesują najbardziej na świecie. Las. Pole. Woda. Czy pan wie, ile dzieje się tam spraw groźnych, ile dramatów pozornie tylko małych. (*z emfazą*) Wolny jak ptak... szczęśliwy jak ryba w wodzie... (*pogardliwie*) Tylko człowiek mógł wymyślić takie zdanie. Czy pan w ogóle coś wie o cierpieniach ryb? (*refleksyjnie*) Ile razy jestem smutna, idę nad wodę... (*nuci*) „Na ryby! Nad leniwą rzeczkę w cień”. (*z rozrzwinięciem*) Uśmiechnął się pan... to dobrze... (*nachylając się czule*) Czy pan zawsze jest taki smutny?

LUDWIK (*niechętnie*) Nie, skąd...

DAMA Pana coś gnębi, ja czuję...

LUDWIK Naprawdę, myli się pani...

DAMA Nie myślę się. Wiem. Pan cierpi.

LUDWIK Zdaje się pani. Nie.

DAMA Tak. Widzę. Niech pan będzie ze mną szczery. Pana ktoś skrzywdził.

LUDWIK (*ociągając się*) Nie, to nie to...

DAMA (*nalegając*) A co?

LUDWIK (*znowu zamykając się w sobie*) Nic.

DAMA Jak to nic. No niechże pan powie. Ja proszę...

LUDWIK Nie warto o tym mówić...

DAMA Warto! To pomaga. Niechże się pan przełamie. No...

LUDWIK Panią to interesuje? Naprawdę? (*decydując się*) Proszę bardzo... (*wyciąga ze sterty książek koło tapczanu plik kartek i pokazuje Damie*) Wie pani, co to jest?

DAMA (*rozczarowana*) Nie. Znowu coś o zwierzętach?

LUDWIK Skąd! O metafizyce wzajemnych stosunków między mężczyzną a kobietą...

DAMA (*ożywiając się znowu*) Aaaa! To ciekawe...

LUDWIK (*sucho*) Tak. Bardzo. (*rzuca gniewnie rękopis na stół*) Pracuję nad tym tematem od dwudziestu blisko lat. Ale ostatnio... utknałem nagle w pół zdania i dalej ani rusz...

DAMA (*z przejęciem*) Ojej, jakie to nieprzyjemne...

LUDWIK Gorzej. Od chwili kiedy żona wyjechała straciłem nagle wiarę w sens tej całej pracy...

DAMA Ach! Biedny, biedny...

LUDWIK Na odejdnym wyznała mi, że wszystko to jej nigdy nic a nic nie obchodziło...

DAMA Nie mogę tego pojąć...

LUDWIK Ja także nie. A przecież usiłowałem udowodnić tu tezę, że każde prawdziwe spotkanie między mężczyzną a kobietą znaczy coś więcej, niż tylko to jedno wydarzenie między dwoma indywiduami, określone w czasie, miejscu i przestrzeni. Zyskuje, że tak powiem, typowy a zarazem symboliczny charakter. Przedstawia próbę samozbawienia z rozproszenia i pojedynczości. I nawet fizyczne zespolenie jest w końcu niczym innym, jak dążeniem ku prądnoci bytu...

DAMA (*z przejęciem*) Niemożliwe! Co pan mówi?

LUDWIK Sam już nie wiem. Bo przecież to jest tylko jeden aspekt zagadnienia. Inny problem polega na tym, że kobieta w Dobrem i Złym staje się losem mężczyzny. Wchodzi w jego życie bądź jako Matka Pięknej Miłości, by podnieść go w górę, bądź też jako Babilońska Dziwka, by go doszczętnie uwiłkła w nicość i przyziemność. W historii ludzkiej kultury znajdujemy bezustannie na to przykłady...

DAMA (*ze wzburzeniem*) A mężczyźni?

LUDWIK (*zaskoczony*) Co mężczyźni?

DAMA Co z mężczyznami? Sądzi pan, że są lepsi? (*wybuchając płaczem*) Jaki pan jest niesprawiedliwy. Takie pan straszne rzeczy mówi o kobietach. Babilońskie Dziwki. Proszę pana! Gdybym opowiedziała panu wszystko, co przeżyłam...

LUDWIK Niechże pani nie płacze.

DAMA Muszę.

LUDWIK Co się stało?

DAMA Ja uciekałam od męża.

LUDWIK No tak! To smutne.

DAMA Tylko niech pan go nie broni.

LUDWIK Skąd. Choć...

DAMA Niech pan nic nie mówi. Pan go nie zna...

LUDWIK To prawda. Nie znam...

DAMA Widzi pan. To zwyczajne bydlę...

LUDWIK Wierzę pani, ale...

DAMA On mnie bije...

LUDWIK Nieładnie...

DAMA Żeby choć postronka wziął, jak człowiek, ale on czym popadnie...

LUDWIK Istotnie brutal...

DAMA Nie wróć już do niego...

LUDWIK Rozumiem. Mimo że...

DAMA Niech pan mnie nie namawia. Ja mam dziecko...

LUDWIK Tym bardziej skomplikowane...

DAMA Trudno. To dziecko nie jest jego...

LUDWIK Ach tak! No cóż, zdarza się...

DAMA Pan nie pyta czyje?

LUDWIK Nie...

DAMA Dlaczego?

LUDWIK Nie wiem. A czyje?

DAMA Bonapartego! *(szarpiąc Ludwika za kłapy)* Gdzie on jest?

LUDWIK *(siadając)* Co?

DAMA *(krzycząc)* Mnie powiedziano, że tu był. Ja się muszę z nim zobaczyć. Ja tu biegłam bez tchu.

LUDWIK Do diabła z Bonapartem. Nie ma. Wyjechał. To znaczy wyjechała. Moja żona po prostu. Bonaparte płci żeńskiej, że tak powiem. *(niespokojnie)* Pani zna moją żonę? O co pani chodzi?

DAMA *(gorzko)* O co mi chodzi! Człowieku! Czy pan naprawdę nie ma oczu. Przecież ja jestem Maria Walewska. Gdzie on, tam i ja. On mnie tak kochał, on mnie nosił na rękach. On mnie literalnie psuł. *(wstając)* Widzi pan tę suknię? Uszył mi ją Leroy, pierwszy krawiec empiru. Czy pan wie, jaki ja miałam peniuar? Z białej lewantyny, z falbanami, ozdobiony blondyną, plisowany jedwabiem, z bufami tiulowymi u rękawów. Kosztował 337 franków. Najdroższy peniuar jaki wyszedł z pracowni Leroya. Przecież ja z Bonapartem mieszkalam w Finkelsteinie. I w Paryżu. Przecież moje apartamenty łączyło tajemne przejście z entresolem cesarskim. *(z emfazą)* Czy znam! *(z namysłem)* Kogo? Pańską żonę? *(ze zdziwieniem)* Nie! Nie znam!

LUDWIK *(słabym głosem)* Więc czego pani chce?

DAMA *(z krzykiem)* Sprawiedliwości! I zadośćuczynienia! Żona. Co mnie obchodzi pańska żona. Nie rusze się stąd. Będę czekać. Czym zasłużyłam na to, żeby mnie kopać i odtrącać? Zostałam sama — jak pan! Porzucona. Jak pan. Błagałam — nie odchodzi! Zostałam z dzieckiem. Przecież tak nie wolno postępować. Dziecko bez przerwy pyta o ojca. Co będzie z dzieckiem? Kto mu zapewni los...

LUDWIK Oh! Niechże pani nie narzeka. Został w końcu i tak ministrem...

DAMA Kto? Mój synek? Przecież to małeństwo... *(spuszczając oczy)* Urodził się w roku 1810... Jak dwie krople wody podobny do ojca.

LUDWIK *(wstając)* Dość tych bzdur! Niech pani sobie idzie.

DAMA *(patrzy na niego przerażona)* Przecież ja nie mam gdzie iść. Więc teraz pan... jeszcze pan na mnie krzyczy... Za co, panie Ludwiku, za co... *(wybuchaszlochem, siada)* Nie pójdę stąd. Niech mnie pan wyrzuci siłą...

LUDWIK *(patrzy na nią błędnym wzrokiem, siada)* Nie pójdzie pani? Aha! Dobrze. No to niech pani nie idzie. *(wybuch głupkowatym śmiechem)* Hahaha... co za radość... oboje samotni, oboje porzuceni... co za honor dla mnie niezwykły... co za przyjemność... I synek, mówi pani, jak dwie krople wody podobny... żona się ucieszy... jaka szkoda, że jej nie ma w domu... mogłyby panie sobie szczerze porozmawiać... żonie bardzo do twarzy w mundurze... a pani też bardzo miłutka... Wcale się nie dziwię... sam na miejscu cesarza... hohoho... *(Dama patrzy na niego przerażona, wyciera oczy chusteczką. Dzwoni telefon)* O! Dzwoni Grossman! *(podnosząc się i idąc w kierunku telefonu)* Już idę, kochanie... *(podnosi słuchawkę, do aparatu)* Halo... Tu „The Man in the Nature”. *(gwiżdże jak ptaszek)* Pozycja 18. *(gwiżdże znowu)* Ach! To pan, panie Grossman. Mój miły, kochany. Tak się cieszę, że znów słyszę pański głosik. W domu wszyscy zdrowi? U mnie świetnie. Coraz lepiej... Nie, nie mam artykułu. Bo nie. Wie pan, złotko, gdzie mam całą pańską Agencję? *(radośnie)* Zgadł pan! Właśnie tam. Wie pan, tyle się tu dzieje ostatnio rzeczy znacznie ciekawszych. Na przykład moja żona, pan ją przecież zna, została niedawno Napoleonem... *(przy ostatnich słowach wchodzi Matka z herbatą)*

MATKA *(do Damy)* Przyniosłam herbatę, ale jakaś mętna. Trudno. Wszystko w tym domu na mojej głowie...

Dama ucisza ją wskazując na Ludwika. Matka siada, cichnie.

LUDWIK Napoleonem... tak... tak... nie żartuję. Odeszła z domu na czele armii. *(śmiejąc się)* Imaginez-vous, w trójkątnym kapeluszu, ze szpadą przy boku... hahaha... pan ją przecież zna. Cały ogród wydeptany. A przed chwilą przyszła do mnie pani Walewska... *(Matka patrzy na Damę z przerażeniem)* Dama kiwa dystyngowaniem głową, kładąc palec na ustach) Maria Walewska. Człowieku! Niech pan nie będzie takim ignorantem. Pan przecież wie... była kochanką Napoleona, a potem ją rzucił. Siedzi teraz u mnie w domu i płacze. Dawno? No to co, że dawno. Takich rzeczy kobiety nie zapominają nigdy. *(Dama przybiera zbolą minę, Matka przygląda się jej przestraszona)* Zwariowałem? Być może. Ale mówię ci, złotko, uważaj, uważaj... Bo jak któregoś dnia twoja żona wylezie z łóżka jako stary Franc Jozef... hahaha... świetnie ją sobie wyobrażam z bokobrodami... hahaha... hallo... *(zdumiony)* Rzucił słuchawkę... *(schodzi po schodach nucąc)* „Na ryby, nad leniwą rzeczkę w cień...”

MATKA Jezus Maria. Po coś ty mu to wszystko powiedział. Co my teraz zrobimy... *(patrzac z wyrzutem na Damę)* Mnie od razu coś tknęło... *(patrzac z niepokojem na Ludwika, który siedzi bezwładnie na fotelu)* Złe się czujesz?

DAMA *(biorąc Ludwika troskliwie za rękę i mierząc mu puls)* To chwilowe. Z wrażenia... *(obciążając suknię i poprawiając loki, kokietyjnie)* Kiedy mnie cesarz ujrzał pierwszy raz, także osłupiał... Ale zaraz potem wrócił do siebie... *(do Ludwika)* No i jak? Lepiej?

LUDWIK *(wesoło)* Bardzo dobrze. Właściwie cudownie. Pierwszy raz od wieków mam wolny dzień... *(z nadzieją)* A może Grossman mnie wyrzuci na zbity pysk? Hurra. *(do Matki)* Będzie obiad?

MATKA *(ze łzami w głosie)* Sama nie wiem... ja i tak nie mogłabym nic przełknąć... a poza tym nie nie ma w domu...

DAMA *(nagle bardzo pewna siebie)* Ja już widzę, że tu u państwa brakuje kobiecej ręki. *(rozglądając się)* Podłoga brudna jak święta ziemia. *(do Matki)* Nie mogę, słowo daję, że nie mogę patrzeć na brudną podłogę. U nas w Finkelsteinie parkiety lśniły jak złoto... Nieraz, mówię pani, nie wstydziłam się, sama brałam szmatę, pastę, zakasałam rękawy...

MATKA *(sentencjonalnie)* Tak... tak... jak kobieta ma zmyśł do gospodarstwa, to dom od razu inaczej wygląda. Moja córka na przykład...

DAMA *(przerzuwając)* Jak ma gospośka na imię?

MATKA Pani Wandzia.

DAMA *(władczo)* Pani Wandziu! Co pani tam robi?

GOSPOŚIA *(stając ponuro w drzwiach ze szlafrokiem)* Skończyłam szlafrok i teraz czytam „Monne Vannę” Maeterlincka.

DAMA Na dzisiaj koniec z „Monną Vanną”. Zrobimy sobie obiad prawdziwie świąteczny. Na początek nasze pocziwe litewskie bałabany na słoninie i pudding irlandzki. Potem kurczę w pomarańczach. Rizotto z ostrygami w reńskim winie...

MATKA *(głosem drgającym od łez)* Ja poproszę o zupe. Może być barszcz.

DAMA *(ignorując Matkę)* Ragout ze skowronków na sposób francuski. Laberdany z zielonym groszkiem, kwiczoły duszone w czerwonym winie, frikando z gołębi... *(do Gosposi)* Pani wie... Parę gołębi sporych, ale niezbyt starych, złapać, poderżnąć im gardło ostrym nożem, oskubać, wypaproszyć, nadciągnąć skórę brzucha, zrobić małe przecięcie w poprzek, nóżki uchwycić mocno, wygiąć, skrzyżować, wpakować za skórę i opuścić do normalnego położenia, by skóra brzucha stała się z powrotem jedrna i gładka.

GOSPOŚIA *(rzucając szlafrok przed siebie)* Nie, nie, nie... ja nie zarżnę gołębia...

DAMA O! A Herodiadą chciałoby się zostać... No trudno, to wobec tego sandacz z farszem grzybowym, albo brzana w kwaśnym sosie z zasmażką...

LUDWIK Nie cierpię zasmażki...

DAMA Dobrze, bez zasmażki... *(rozbawiona)* Ach! Jakież figielki rozkoszne można płać podając brzanę. *(do Gosposi)* Niech pani słucha: Jeśli z kogoś w towarzystwie chcemy zażartować, wystarczy w jednym z filetów ukryć nieco ikry z brzany. Oznaczyć żdźbłem zieleniny, który to, by uniknąć pomyłki i częstując, osobie upatrzonej ofiarować ów z ikra... *(chichocząc)* Ikra z brzany przeczyszcza błyskawicznie, a przecież nie szkodzi zdrowiu... *(chichocząc)* Zaśmiewaliśmy się nieraz w Finkelsteinie...

MATKA (ponuro) Bardzo śmieszne. Ja bym zjadła po prostu paprykarz z ryżem i surówką z kapusty...

LUDWIK Sałatkę z selerów...

DAMA Śledź w zupie cytrynowej.

LUDWIK ...albo z endywii, salsefii, eskariolów, cykori...

DAMA Bób na sposób pruski...

MATKA Jestem niestety na diecie... wolałabym zapiekanekę z marchwi... (wstając) albo ryż z bitą śmietaną... (idąc w kierunku drzwi) Nie mogę się tak objadać. Jak będzie wszystko gotowe, to mnie zawołajcie.

DAMA (klasząc w dłonie) A jeszcze raki. (do Ludwika) Czerwone jak prosto z wrzątku, a przecież żywe... (do Gosposi) Weźmie pani raki, poleje koniakiem i zapali. Pałace kładzie się w wazę, szczelnie przykrywa i wnosi na stół. Po zdjęciu przykrywy, gdy poczują powietrze, wybiegają wszystkie w popłochu na stół, szkarłatne jak ogień. Gdy ucichnie zamieszanie, zbiera się je ze stołu, wynosi, wrzuca we wrzątek i ugotowane przynosi z powrotem. (do Ludwika) Prawda, że zabawne?

LUDWIK Czy ja wiem...

GOSPOSIA (z namysłem w głosie) Pójdę już do kuchni, wezmę wrzątku, spróbuję, spróbuję... (wychodzi)

DAMA (z egzaltacją) Ach! Ileż świetnych rzeczy mogłabym jeszcze przyrządzić. Takie na przykład przepiórki w krótkim sosie à la Napoleon... (wyjmuje chusteczkę, ociera oczy) Zajadaliśmy się tym w Finkelsteinie... (wybuch znowu szlochem)

LUDWIK (ze znużeniem) No już... dobrze... dobrze... (patrząc na zegarek) O! Jak się późno zrobiło. (wstaje) Porozmawialiśmy sobie bardzo miło, ale najwyższy czas...

DAMA (ze zdziwieniem) Dlaczego? Mnie się nigdzie nie spieszy. Niech pan siada. (Ludwik stoi. Dama wstaje i popycha go lekko) Niech pan siada, proszę! (Ludwik siada) Tyle mam przecież panu jeszcze do opowiedzenia. (siada także, kokieterynnie) I pan mnie. Zaczął pan tak ładnie i szczerze mówiąc miał pan rację z tymi kobietami. Rzeczywiście są na świecie i takie i inne, i wszystko zależy od tego, na jaką się natrafi... (głaszcząc go czule po policzku) Taki pan mizerny. Będę się musiała panem zająć. Chciałby pan na wieść? (marzycielsko) Mam tu dom w okolicy. Biał. W cieniu rozłożystych stuletnich lip. Sad. Ach! gdyby pan zobaczył mój sad. Tu oranżeria, tam trebhauz. Ananasarnia cudownie utrzymana. Z lasu kazałam wozić jarzębiny, krategusy, głogi. Przyjęły się nad podziw. (znacząco) W moje okno krzak ogromny pasowej róży zaziera...

LUDWIK Rzeczywiście, zmęczony jestem jak pies...

DAMA No widzi pan. A pokoi u nas bez liku... (zachęcająco) Książek pełno starych...

LUDWIK (z zainteresowaniem) Tak? Jakich?

DAMA (lekko) Różnych. Głównie przedwojennych... (zakłopotana) Wie pan co? Chyba zdejmę buty. Strasznie mnie uwierają... (zdejmuje pantofle, rozciera nogi, syka, ogląda buty ze zdziwieniem) Cisną... (usprawiedliwiająco) Dawno ich nie wkładałam. (kładzie gołe nogi na drugie krzesło. Kokieterynnie) Mówić dalej?

LUDWIK Proszę, proszę. Teraz lepiej?

DAMA (z ulgą) Znacznie lepiej. (recytuje jak wyuczoną lekcję) Krajobraz u nas malowniczy, laski, gaiki, rozrzucone po pagórkach, dolinach, jarach, dwa stawy czyste jak lustro, krów osiem...

LUDWIK (budząc się z zamyślenia) Co?

DAMA (z naciskiem) Krów. Osiem. Dwie szwajcarskie, dwie holenderskie, dwie tyrolskie i dwie kałmagorskie. Sama je pasę nad stawem. A po stawie łódką do olszyny. A w olszynie cień. A tu już tuba maryna wzywa na wieczkę. A na stole ryby morskie, ortolany, najradsze jarzyny amerykańskie, wino. (stanowczo) Jedziemy.

LUDWIK (ożywiając się) Czy ja wiem. Może. Położyłbym się w trawie...

DAMA (grożąc mu paluszkami) Ale tylko na chwilę. (stanowczo) Bo potem spacer w sadzie. Noc. Gra słowik. Odurzająca woń rezedy. W moje okno...

LUDWIK Wiem, wiem... *(nagle gniewnie)* Ja naprawdę nic nie rozumiem. Dlaczego pani tu przybiegła z takim krzykiem, zamiast siedzieć w białym domu?

DAMA *(z rozpaczą)* Bo się wali. Dach zacieka, podłoga gnije. Nigdzie papy nie mogę dostać, ani blachy. Piec dymi, szambo przepełnione. Parkan sąsiedzi rozkradli na opał, nocą wilki podchodzą pod okno. Prądu nie ma, wiatr gwiżdże...

LUDWIK *(wzdrygając się)* Rzeczywiście, niemiłe...

DAMA *(chwytając go za rękę)* Wiedziałam, że pan mnie zrozumie. Kochany! Pan mi pomoże, pan pojedzie tam ze mną, pan się zajmie wszystkim. Pan mnie nie zostawi samej, pan się wystara o papę, piec wylepi szamotem...

LUDWIK Na miłość Boską. Jeszcze tego mi brakuje. Przecież ja gwoźdźnia w ścianę nie potrafię wbić. Papa! Skąd ja pani wezmę papy. Nie! Niech pani na mnie nie liczy!

DAMA *(gniewnie)* Nie? To nie! Niech zgnije wszystko, niech się zamieni w ruinę. Wszystko mi jedno. Nie wróć tam sama. Mam dość! *(wstaje, przeciąga się, powoli zaczyna rozpinąć suknię)*

LUDWIK *(zaskoczony)* Co pani robi?

DAMA *(zdejmując suknię)* Jak to co? Rozbieram się. *(zostaje w czarnym dessou, rzuca suknię na krzesło, oddycha z ulgą)* Uff! przytyłam chyba. Ostatni raz miałam na sobie tę suknię w Finkelsteinie. *(obraca się tańczącym ruchem w kółko)* No? Niech pan spojrzy, jak ja jestem zbudowana...

LUDWIK *(zakłopotany)* Rzeczywiście. Bardzo ładnie...

DAMA No właśnie. *(przeciągając się kusząco)* Mogłabym przecież śmiało śpiewać w restauracjach. *(tęsknie)* Od lat, co noc, gdy zasypiam, wyobrażam sobie tę scenę... *(patrzy przed siebie, mówi natchnionym głosem)* Przyćmione światło. Wesoły gwar. Rój panów przy stolikach. Na stolikach szampan w srebrnych kubałkach. Orkiestra gra tusz... *(podczas słów Dama światło w pokoju przyciemnia, zapada dwuznaczny knajpiany półmrok. Słychać rzeczywiście rozbawiony gwar męskich głosów. Zaczyna grać orkiestra. Ludwik poprawia się w fotelu)* Przy stoliku siedzisz ty. Sam. I nagle na estradę wbiegam Ja. *(wybiega na środek pokoju, reflektor rzuca na nią czerwone światło)* Zrywa się burza oklasków! *(rzeczywiście słychać oklaski)* Zaczynam śpiewać! *(zaczyna śpiewać przy akompaniamencie orkiestry, ochrypłym, namiętym głosem, gnąc się jak pantera)*

Dwa rowery dwa serca to wszystko
Można jechać daleko lub blisko
Można skrócić ze szosy, gdy się szosy ma dosyć
I ścieżkami na wprost ty i ja...

(w trakcie śpiewu wchodzi kelner, niosąc szampana i kieliszki. Kłania się Ludwikowi, stawia tacę na stole, nalewa, kłania się znowu, wychodzi, ociągając się i pożerając Damę wzrokiem. Ludwik wychyla kielich szampana, rozsiada się wygodniej w fotelu, słucha. Dama śpiewa dalej)

Dwa rowery codziennie nas miosą
Na horyzont naprzeciw niebiosom
Raz daleko jedziemy, raz blisko
Dwa rowery i serca dwa...

(kończy, kłania się. Znowu burzliwe oklaski. Dama podbiega do Ludwika, radosna, uśmiechnięta, Ludwik podaje jej kieliszek, Dama wypija, obejmuje go) Cały czas patrzyłam tylko na ciebie. Widziałam, że ci się podobało... *(siada mu na kolanach)* Wiesz... Śpiewałam tylko dla ciebie. Zauważyłeś? Słyszałeś te oklaski? Wszystkim się podobało. Taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa... *(rzuca się Ludwikowi na szyję, obsypuje go pocałunkami, odrywa się, czule)* Napijmy się jeszcze... *(Ludwik nalewa szampana, stukają się, piją)* Tak się cieszę, że jesteś... byłoby mi tak smutno bez ciebie... zdawałoby mi się, że śpiewam w pustej sali, gdyby nie ty... Pocałuj mnie... *(pocałunki. Dama odrywając się znowu od Ludwikowych ust)* Powiedz... lubisz mnie troszkę?

LUDWIK (*przygarniając ją znowu, niewyraźnie*) Yhy...

DAMA A nie znudzę ci się? Powiedz. Nie porzucisz mnie? Weźmiesz mnie z sobą? Nie zostawiaj mnie tu. Błagam! Ja mam już dość takiego życia. Ja nie jestem stworzona do przelotnych przygód. Ja chcę mieć dom, dzieci... Będę o ciebie dbać... nie pożałujesz na pewno... (*wyjmuje Ludwikowi kieliszek z ręki*) Nie powinienesz tyle pić. To ci szkodzi. Tak źle wyglądasz. Przestanieś chodzić po knajpach. Szampan kosztuje majątek... (*wchodzi kelner, szybko i sprawnie sprząta butelkę i kieliszki, wychodzi. Znika knajpiane światło, pokój staje się znowu normalnym pokojem. Dama marzycielsko*) Będziemy żyć spokojnie. Kupimy sobie radio... (*rozglądając się po pokoju*) Powiesi się firanki...

LUDWIK (*z radością*) Oj, tak... tak...

DAMA (*rozglądając się dalej, z niesmakiem*) Jak ten pokój wygląda. Jak stajnia. Popatrz na tę kanapę. Obrzydliwość. Sprężyny sterczą, siano się sypie... (*wstaje z kolan Ludwika, przygląda mu się z niezadowolaniem*) Popatrz na twoje spodnie. Niedawno prasowane i już wyglądają jak szmata. Już ja się tym wszystkim zajmę... (*surowo*) Co z tymi gazetami? Będą tak leżeć wiecznie na podłodze?

LUDWIK (*słabo*) Trzeba by uporządkować, kolejno, numerami...

DAMA I wyrzucić!

LUDWIK (*z przerażeniem*) Nie!

DAMA (*stanowczo*) Tak. Tylko kurz się w domu lęgnie. Kaszlesz. Za dużo palisz. Za dużo pijesz. Za późno chodzisz spać. Za późno wstajesz. Byłeś dziś na spacerze?

LUDWIK Nie.

DAMA No wdrzisz. Tyjesz. Przy twoim trybie życia musisz dużo chodzić. Z psem. (*drapiąc się*) Pies ma pchły. Kiedy nareszcie wykąpiesz psa?

LUDWIK Jutro.

DAMA Żebym nie musiała dwa razy prosić. Pójdziemy do kina...

LUDWIK Nie mam czasu.

DAMA Znajdziesz czas!

LUDWIK (*z wściekłością*) Buty są u szewca. Nie mam w czym chodzić.

DAMA To się odbierze.

LUDWIK Kto odbierze? Od miesiąca się nie mogę doprosić o te buty. Gdzie jest smycz? Gdzie jest kaganiec? Trzeba kupić proszek na pchły, przypominam od miesiąca. Kaloryfery nie grzeją, rachunek za światło nie zapłacony, znowu prąd wyłącza. Jak ta podłoga wygląda, czy nie można by jej kiedyś zapastować. Okna trzeba uszczelnąć. Kto ma to zrobić? Ja?

DAMA (*z pasją*) Ja? Wszystko ja? Palcem w domu nie tkniesz, nic cię nie obchodzi. Żadna kobieta tego nie wytrzyma. Cały dzień przy garnkach, nawet słowa dobrego mi żałujesz. Nic cię nie obchodzi... (*chwytając z wściekłością suknię, wkłada, zapina*) Ja mam dość... Ja chcę mieć własne życie. Ja jestem stworzona do czegoś więcej. (*staje przed lustrem, poprawia włosy i suknię, patrzy w lustro z namysłem, wyciąga ręce i strasznie krzyczy*) Jedzie, jedzie, słyszę już tętent koni...

LUDWIK (*przestraszony*) Kto?

DAMA (*spokojnie*) Bonaparte. Napiszę dramat o nim i o sobie. I zagram w nim sama siebie. Widzę już początek. (*tajemniczym szeptem*) Stoję przed gotownią, tak jak wtedy. Nagle... w dali... słyszę turkot karocy... (*nadśłuchuje*) i wiem już, że to On. Wołam: (*wrzęczy znowu*) Jedzie, jedzie, słyszę już tętent koni. Czarna gęba mameluka Roustama szczyrzy zęby z kozła. Puchowy śnieg jak w bajce sypie się na opłotki. (*wrzęczy jeszcze głośniejsze*) O! Czekam tu na ciebie. Otwórz drzwi, mój umiłowany...

Drzwi otwierają się cicho. W drzwiach staje Ja-Napoleon, blada i obdarta.

DAMA (*rzucając się do mnie z krzykiem*) Doczekałam się. Jesteś skarbie... (*próbuję mnie chwycić za ramiona*)

JA (*odpychając ją z niesmakiem*) Ludwiku! Co się tu dzieje? Może byś uspokoił tę panią...

LUDWIK (*odciągając Damę*) Proszę pani. Moja żona wróciła...

- DAMA (*wyrywając się i filuternie grożąc mu paluszkami nuci na znaną melodię*)
Oj panie Ludwiku, to nie pańska żona, to jest...
- JA (*przerywając jej z wściekłością*) Powiedz jej natychmiast, żeby była cicho. To wariatka!
- DAMA (*patrząc na mnie z osłupieniem*) Nie! To naprawdę nie ty. Ty bybyś dla mnie inny. Ty byś mnie przygarnął, objął, tyś do mnie nigdy nie mówił takim tonem... (*rzuca się w ramiona Ludwika, ze szlochaniem*) Panie Ludwiku! Co to wszystko znaczy...
- JA (*z oburzeniem*) Ależ to naprawdę obłąkana...
- LUDWIK (*speszony, trzymając Damę w ramionach*) Pst! To Maria Walewska. Zdenerwowała się trochę widząc cię tak nagle w drzwiach... (*do Damy*) No już... już...
- JA Maria Walewska? Stuknij się w głowę. Przyjrzyj się jej. Jeżeli to ma być Maria Walewska, to ja jestem... (*przerywam widząc wbiegającą Matkę*)
- MATKA (*rzucając mi się na szyję*) Jesteś. Kochanie! Co za radość. Cała, zdrowa. Pokaż się, jak wyglądasz...
- DAMA (*ciągle w ramionach Ludwika kwili żałośnie*) Kochałam go, tak go kochałam...
- MATKA Proszę pani, niechże pani puści mego zięcia. Widzi pani przecież, że córka wróciła. (*do mnie usprawiedliwiając*) Cały czas byłam na górze. Nosa z domu nie wyściubiam. Kończę książkę o Matejce... No opowiedz, co słychać...
- JA Wszystko dobrze... (*do Ludwika*) Może lepiej dasz jej jakieś krople. I niech się na chwilę położy. (*Ludwik prowadzi Damę do kanapki, układa ją, Ja obserwuję ich z niepokojem, Matka obserwuje mnie z niepokojem*)
- MATKA (*do mnie*) Tylko nie denerwuj się. Uspokoi się i pójdzie...
- DAMA (*jęczy z kanapy*) Wierzyłam mu, tak mu wierzyłam...
- LUDWIK (*speszony*) Rzeczywiście pójdę po krople... (*wychodzi*)
- MATKA (*głośno, ostentacyjnie, nie zwracając uwagi na Damę*) No, mów, kochanie, mów. U nas wszystko dobrze. Dziecko zdrowe. Ludwik bardzo zapracowany. Bardzo zdenerwowany. Bardzo tęskni!
- DAMA (*jęczy z kanapy*) O ja nieszczęśliwa... wzgardzona... porzucona...
- MATKA (*ze wzburzeniem*) Wiesz, że to przekracza już wszelkie granice. Dziwię się Ludwikowi, bardzo się dziwię...
- GOSPOŚIA (*stając w drzwiach, agresywnie, z nożem w ręku*) Znowu się zaczyna. Cała banda jest z powrotem. Kuchnię mi zadeptali. Bałabanów chcą i herbaty...
- MATKA Kto? Nic już nie rozumiem...
- Wchodzi Furmani i Ogrodnik, odziani w strzępy napoleońskich mundurów.
- FURMANI (*jak zawsze pijani, chórem*) Toż to my. Pani kochana. Toż to my.
- DUŻY Cesarscy...
- MAŁY Zdorozeni...
- DUŻY Zgłodniał...
- MAŁY Spragnieni...
- CHÓREM Całą drogę zupa z chleba rzadka i niesłona...
- DAMA (*jęczy z kanapy*) Oszukani wszyscy, oszukani... (*Ludwik wraca z kroplami i wodą, poi ją troskliwie, Dama pijąc jęczy*) Skrzywdzeni wszyscy, skrzywdzeni...
- DUŻY E tam! Zaraz skrzywdzeni...
- MAŁY Czasem fajno było...
- DUŻY Całą drogę my z powrotem cesarza na sankach wieźli...
- MAŁY Choć chudzina, ale swoje waży...
- DUŻY Szwagier ciągnął, a ja żem popychał...
- MAŁY A potem znów inaczej. Ja żem pchał a szwagier ciągnął...
- DUŻY (*śmiejąc się*) A raz śmiechu była kupa...
- MAŁY (*śmiejąc się*) Sanie nam się przewrócili...
- DUŻY Cesarza my wywalili...
- RAZEM Wszyscy razem bęc... (*śmieją się głupkowato*)
- OGRODNIK (*ponuro*) A cichoja, tumany jedne, całą drogę pijane jak świnię. (*do Ludwika*) Nie żebym się chciał skarżyć, panie redaktorze, ale takiej kampanii jak żyję żem nie widział. Bajzel. Harmider. Kłótnie i głód. (*do Matki*) Dziadek Conrada, stary Bobrowski, psa ukradł na skraju wsi i żezał...

Wszyscy odwracają się z przerażeniem w moją stronę, Ja milczę, stojąc oparta o ścianę.

DAMA (jęczy) Wykorzystani, poniżeni, oszukani, biedni my wszyscy, biedni.

MATKA (z przerażeniem) Boże miłosierny. Co pan mówi? To straszne. (z pretencją do mnie) No powiedz coś. Odezwij się. Nie stój tak... (wszyscy patrzą na mnie, Ja stoję bez ruchu, krępująca cisza)

OGRODNIK (wysuwając się na środek pokoju i patrząc na mnie karcąco) Powiem sam, jak było, bo widzę, że nasz cesarz żeby nie otwiera. Doszli my do granicy. Ze śpiewem jak się patrzy, ale trochę już źli, bo prawdę mówiąc dużo na nas cesarz nie patrzył ino ciągiem z adiutantem jakieś szeptu, jakieś śmiechy na boku, to z konia skoczył, kwiatek zerwał, potem się na konia z powrotem nie mógł wygramolić, to my czekali, dziwili się, ale nic. Na granicy do snu my się pokładli, świtem w ordynku do marszu gotowi stanęli, a tu cesarz wyszedł przed nas błady jak trup i powiada: — Nie pójdę ja z wami dalej, żołnierze. Ja mam dom — mówi — ja mam męża, kto tam wie — mówi — jak sobie mąż radzi sam — nie mogę — mówi, Bóg mi świadkiem — darujcie — mówi — idźcie sami z panem dyrektorem — ja wracam — mówi — jedno mam życie — co je będę marnował z daleka od domu, kiedy w domu — mówi — też się da żyć. I pobladł jeszcze bardziej, łyzy mu się puściły z oczu, a pan dyrektor tylko wargi zagryzł i stoi i patrzy w ziemię...

DUŻY Całą noc się kłócili w namiocie...

MAŁY Stali my na warcie i podsłuchiwali...

DUŻY Dziecinada — krzyczał pan dyrektor...

MAŁY Nieodpowiedzialność — darł się...

DUŻY A cesarz ino płakał i płakał...

JA Milczeć!

LUDWIK Nie podnoś głosu. (do Ogrodnika) I co dalej?

OGRODNIK A no nic. Zrobili my w tył zwrot i poszli do domu.

DUŻY Z cesarzem my przyszl...

MAŁY To z cesarzem my odeszli...

DUŻY Cesarscy my, a nie dyrektorscy...

MATKA (zirytowana) Zawsze te same fanaberie. Pamiętam, jechała kiedyś z koleżanką do Rabki i wysiadła z pociągu w pół drogi. Co się stało — pytam. Odechciało mi się — mówi. (do Damy) Na fortepianie nieźle grała. Przerwała. Jakaś choroba woli czy co?

DAMA Być może, być może...

LUDWIK (surowo) I co teraz będzie? (ironicznie) Jakie dalsze plany, nowe wyprawy...

OGRODNIK (ponuro) A niech Bóg zachowa. Zajrzę do róż, pomarzę pewnie przez ten czas. A potem pójdę sobie...

DUŻY A my o żółd zaległy poprosim...

MAŁY I za te belki...

DUŻY Za nocne marsze...

MAŁY I za tę jazdę na sankach...

MATKA (z irytacją) Jeszcze i to. Ciekawa jestem bardzo, kto będzie za to wszystko płacił... (wszyscy patrzą na mnie. Ja stoję bez słowa)

WOŻNY Z INSTYTUTU (stając w drzwiach) A dzień dobry, dzień dobry. Ja tu po zegar i kanapę. Pan dyrektor z Instytutu wyniósł za rewersem i do tej pory nie oddał. A u nas kontrol była z Ministerstwa. To musiałem powiedzieć, że pan dyrektor wyniósł. To krzyczeli, pyskowali... (podchodząc do kanapy, na której ciągle leży Dama) Pani zejdzie z tej kanapki. (surowo) To zabytek, wielki, cenny. Kanapa Marii Luizy opisana w tomie trzecim „Bau und Still des Empire” Heinemann. Jakiś napis jest tu nawet z tyłu... (zagląda od tyłu, Dama złażąc z kanapy, nachyla się ciekawie)

DAMA (krzyczy nagle) „A toi Marie”. Moja kanapa. Teraz ją poznaję. Podarował mi ją Bonaparte w Finkelsteinie. Zostawiłam ją tam u sąsiadki, a on podył dał ją potem Marii Luizie... (rzuca się na kanapkę, tuli ją do serca, szlochając) Moja kanapa... ostatnia po nim pamiątka...

WOŻNY (uspokajająco) Wysiedziana, sfatygowana, szkoda łez paniusiu... Swoją drogą dostanie pan dyrektor za swoje. (rozglądając się) Nie ma go gdzie tu...

OGRODNIK (*ponuro*) Nie...

WOŻNY (*ciekawie*) Wyjechał?

OGRODNIK Tak!

WOŻNY Kiedy wróci?

OGRODNIK (*patetycznie*) On nie wróci. Ma swoją dumę. Poszli my w jedną stronę, a on w drugą. Obróciłem się jeszcze za siebie i widziałem, jak przesadza jeden za drugim szlabany graniczne, wyprostowany w siodle jak świeca, z ręką na szpadzie. Zabysły jeszcze raz w słońcu lampasy i szamerunki na wyszarzałym mundurze i znikł... Nie wróci, szkoda gadać... (*tłumiąc szloch wychodzi z pokoju*)

WOŻNY (*drapiąc się w głowę z frasunku*) Mundur też wziął ze sobą? I szpadę? No to nie ma po co wracać. Szkoda. Porządny był chłop... Pójdę już... (*zdejmuje ze ściany zegar, kładzie na kanapę, wyjmując kanapę z ramion zastuchanej Damy, wychodzi*)

DAMA (*oczekując się, szlocha*) Moja kanapa... moja kanapa...

MATKA (*stukając palcami w blat stołu, ze zdenerwowaniem*) Tak... tak... Wszystko to rzeczywiście bardzo nieprzyjemne...

DUŻY Fakt!

MAŁY Nie da się ukryć, że głupio wyszło... (*patrzą ze współczuciem na nas wszystkich i stukają się porozumiewawczo łokciami*)

DUŻY Wpadniem jutro...

MAŁY Państwo dzisiaj zdenerwowane...

DUŻY Weźmiem, co się nam należy, i znów można na nas liczyć...

MAŁY Jakby co wkopać trzeba było, albo wykopać...

DUŻY Albo znowu w drogę iść...

MAŁY Albo po piwo skoczyć...

CHÓREM To my chętnie, żalu nie mamy... (*wychodzą, kłaniając się*)

MATKA (*tocząc niespokojnym spojrzeniem*) No i co Ludwiku. Może ona powinna się położyć? (*do mnie*) Chcesz herbaty? Zmarłśaś pewnie. Żebyś się tylko nie rozchorowała. (*z gniewem*) Jeszcze tego by nam brakowało. Dlaczego nic nie mówisz? Może raczysz się odezwać... (*Ja stoję w milczeniu. Podniecając się*) To już naprawdę przesada. Stoisz i stoisz. Jak pień. Jak kłoc. Jak kołek. Stoisz naprawdę jak wryta. Jak niema. Jak zakłeta. Stoisz jak tuman. Jak ciełe. Jak ty możesz tak stać i stać po tym wszystkim. (*z pasją*) Stoisz jak głupia!

LUDWIK Dość! Co się stało, to się nie odstanie.

MATKA Racja. Stało się i kropka.

LUDWIK Jak ty komu, tak on tobie. Ja umyвам ręce.

MATKA Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz.

DAMA (*cichym melancholijnym głosem z fotela*) Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzają.

JA (*patrząc z wściekłością na Damę*) Ludwiku! Niech przynajmniej ona milczy.

LUDWIK Dlaczego? Pani Walewska ma zupełną rację. Nawarzyłaś piwa, to je pij.

JA Uspokój się, do diabła, z tą twoją panią Walewską. Pęknąć można ze śmiechu. Wszystko ci można wmówić...

MATKA (*do mnie, półgłosem*) Nie unos się, nie denerwuj go teraz. Ty wiesz, jacy są mężczyźni. Wyraźnie się zaangażował. Trudno. Teraz już tego nie odrobisz. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. Teraz jedyny sposób milczeć. Przeczekać. Nie ingerować. Zaciśnąć zęby i przecierpieć. Mówię ci to jako kobieta. (*znowu wściekła*) Sama jesteś sobie winna. Co za dużo to niezdrowo. Małżeństwo to nie fraszka. Życie to nie żart.

LUDWIK Trzeba wiedzieć czego się chce...

DAMA (*głośniejsz niż poprzednio, patrząc na Ludwika*) Każdy jest kowalem własnego losu.

MATKA Chcieć to móc. Dla chcącego nic trudnego. Nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię... (*z żalem*) Zylaś jak u Pana Boga za piecem. Trzeba iść w życiu prostą drogą. Znać swoje możliwości. Dawać z siebie wszystko. Brać wszystko poważnie. Być człowiekiem...

DAMA (*patrząc na Ludwika, głośno i znacząco*) Mieć serce i patrzeć w serce...

MATKA Wszystko, albo nic. O nieszczęście nietrudno.

DAMA (*patrząc na Ludwika, z patosem*) Ręka rękę myje, noga nogę wspiera...

MATKA Dopóty dzban wodę nosi dopóki się ucho nie urwie. Trzeba z żywymi naprzód iść. Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny.

DAMA (*wstając*) Panta rhei. (*podchodząc do mnie, proroczym tonem*) Tak na tym świecie dziwnie się plecie, robak się łęgnie i w bujnym kwiecie. (*machając mi palcem ostrzegawczo przed nosem*) Upływa szybko życie! (*machając dalej*) Chcąc być czymś, trzeba uczyć się i uczyć, i prawdy wszędzie szukać, nie dając się uludzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki... (*machając jeszcze bardziej*) Na jednej tylko cnocie i na odwadze serca, jako na węgielnym kamieniu stanąć możemy...

JA (*waląc pięścią w stół*) Niech się pani odczepi, bo nie ręcę za siebie. (*Dama odskakuje z krzykiem*)

MATKA Opanuj się kochanie. Pani naprawdę bardzo ładnie to sformułowała. (*ze zdziwieniem*) O! Pan Malewski!

PAN MALEWSKI (*upada z hukiem do pokoju, toczy błędnym spojrzeniem, toczy pianę z pyska, wyje*) Jesteś tu suko! (*podbiega do Damy, szarpie ją za włosy, zrywa z niej bujne złote pękłe, Dama stoi teraz w przylizanej burej fryzurze, bardzo przestraszona*) Ja ci dam, ty ścierwo, ja ci pokażę... (*szarpie Damę, drze na niej suknię*) O, moja droga, tym razem nie ujdzie ci na sucho. Spiorę w domu tak, że nogą nie ruszysz. Przychodzę do domu, dzieci głodne, obiadu nie ma... (*szarpie dalej*)

DAMA (*wyrywa się płacząc*) Panie Ludwiku! Panie Ludwiku!

PAN MALEWSKI Ja ci dam pana Ludwika...

LUDWIK (*ostro*) Niech pan ją puści!

PAN MALEWSKI (*ciągnąc Damę ku wyjściu*) Ja ci puszcze, ja ci dam, ty bydlaku. Pilnuj lepiej swojej wariatki, zanim ci ją do czubków zamkną. Jakaś zaraż stąd wieje czy co. Ledwo się jedna przebierze w jakieś lachy i udaje bógwico, to już i druga musi małpować... (*wywlękając Damę za drzwi*) Ja cię oduczę, ja ci dam... (*znikają, z oddali słychać rozpaczliwy krzyk Damy: panie Ludwiku! panie Ludwiku!*)

MATKA (*rozglądając się zmieszana*) No cóż... Biedna kobieta... Mnie się to zresztą od początku wydawało podejrzaną. Maria Walewska. Skąd nagle u nas w domu Maria Walewska. Cały czas myślałam sobie, znajoma jakaś twarz... (*przyglądając mi się z odcieniem dumy*) Nie każdy ma tyle szczęścia co ty. Powinnaś Ludwika po rękach całować za to, że ci tak na wszystko pozwala. Teraz sama widzisz, jacy są mężowie. Mam nadzieję, że nie robi jej jakiejś krzywdy... (*do Ludwika*) Swoją drogą powinienes jednak bardziej na przyszłość uważać z tymi przypadkowymi znajomościami. Ogromnie jesteś łatwowierny. No, jakoś się wszystko ułoży... Rozchmurz się, Ludwiku. Ja wiem, że ci przykro, ale może i dobrze, że to się tak skończyło. (*do mnie*) A ty kochanie, przebierz się już lepiej... (*patrząc na zegarek*) Zaraz będzie obiad... (*dzwoni telefon, Matka do Ludwika niespokojnie*) To na pewno do ciebie.

LUDWIK (*lunatycznym krokiem idzie w kierunku telefonu i podnosi słuchawkę, Ja w trakcie jego rozmowy rozbieram się z munduru, Matka sapiąc ciężko pomaga mi zdjąć buty, zostaje w białym podkoszulku i długich żołnierskich gaciach, rozglądam się po pokoju, widzę porzucony różowy szlafrok, wkładam. Ludwik do telefonu pokornym głosem*) Tak, to ja, panie Grossman. Bardzo mi przykro, naprawdę bardzo. To był jakiś przejściowy szok. Pierwszy raz mi się coś takiego zdarza. Ach! Oczywiście, że to nieprawda. Stoi tutaj koło mnie w różowym szlafrocuku. Tak... tak... o siódmej piętnaście... jak zwykle... trzydzieści linijek... (*odkłada słuchawkę, schodzi ciężkimi krokami na dół*)

MATKA Pani Wandziu!

GOSPOSIA (*wchodząc z tacą*) Słucham?

MATKA Co z obiadem?

GOSPOSIA (*niezwykle*) Dawno gotowy. Tylko czekałam, aż państwo dojdą wreszcie do ładu, żeby było wiadomo, kto zostaje, a kto odchodzi. (*patrząc na szlafrok, ciepłym tonem*) Przyjemnie wyszedł. (*ponuro*) Szkoda tylko, że pani zaraz go wyświechta... (*rozstawiając talerze*) Nakrywać na trzy osoby?

MATKA Tak, tak... na trzy... (*uspokajająco*) Nie wyświechta, na pewno... (*przy-
milnym tonem*) A co będzie na obiad?

GOSPOSIA (*ponuro*) Ryż i buraki.

MATKA (*ze smutkiem*) Ach! Ryż i buraki. No cóż, trudno... (*patrząc na nas nie-
śmiało*) Siadajmy, dzieci, do stołu...

W milczeniu, nie patrząc na siebie, siadamy we troje do stołu.

K u r t y n a

Niektórzy siedzą pod butem tyrana jak pod pantofelkiem Muzy.

Stanisław Jerzy LEC